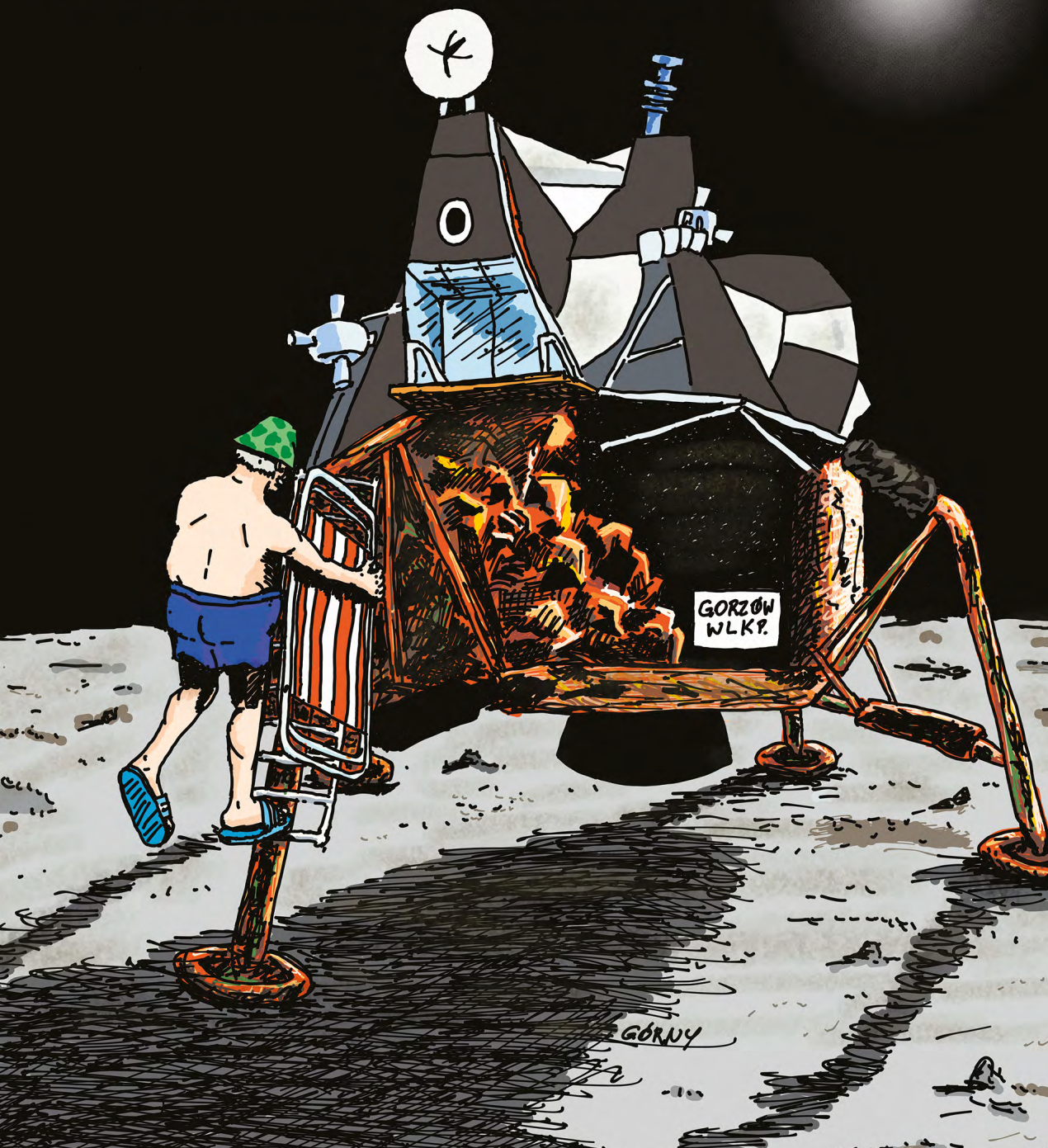


ISSN 2657-5280

NUMER 2(16)/2025

Landsberg N

GORZOWSKI MAGAZYN FANTASTYCZNY



Jak lukier dowcipu osłabia gorzką pigułkę – wstępniak naczelnego

U naszych granic trwa wojna, planeta płonie, AI utrudnia nam odróżnienie prawdy od rzeczywistości, obserwujemy pochód demagogów, przejmujących polityczne stołki na całym świecie, a my, w redakcji „LandsbergONU”, postanowiliśmy poświęcić najnowszy numer na humor i satyrę w fantastyce. Skąd ten pomysł? Może kieruje nami potrzeba eskapizmu, chcemy właśnie oderwać się od tego, co wymienilem na początku, a nie jest to koniec listy zmartwień, i zanurzyć się w kojącej fikcji, okraszonej humorem, i choć na czas lektury zapomnieć o potencjalnych zagrożeniach? Jak najbardziej można, moi drodzy czytelnicy, niech ten numer będzie dla Was miękką kołderką i kubkiem ciepłego mleka, uspokajającym rozpraszaczem złych snów. *Oczywiście humor mój jest infernalny. O to właśnie szło, inaczej, myślę, lektura byłaby już nadto odpychająca. Lukier dowcipu osładza pigułkę tylko w momencie jej połykania, potem pozostaje gorycz, której, nie muszę chyba Pana zapewniać o tym, nie wymyśliłem sobie prywatnie, bo pochodzi ona raczej z zewnątrz, tj. ze świata, w jakim żyjemy*, pisał Lem w jednym ze swoich listów. Niech tak będzie, niech lukier dowcipu naszych autorów osłodzi Wam gorzką pigułkę, jaką częstuje nas świat. Ale czy tylko taka jest rola humoru? Nasi autorzy, których dzieła zgromadziliśmy w tym numerze, mogą stanać na ramionach wielu olbrzymów, takich jak Pratchett, Adams, Willis, Pilipiuk, Moore czy w końcu Stanisław Lem (jak nie dławić się ze śmiechu, czytając o tym, co spotkało Ijona Tichego podczas podróży siódmej?). W ich dziełach humor pełnił rolę przyprawy, ale takiej która miała dodawać smaku czemuś więcej.

Do lektury nadesłanych nam tekstów siadłem zaraz po przeczytaniu *Co możemy wiedzieć o Thundermanie*, opowiadania Alana Moore’a, w którym satyra, absurdalny humor, od którego śmiechem budziłem żonę w nocy, osładza gorzką pigułkę, jaką jest ocena współczesnego społeczeństwa, zinfantylizowanego przez opowieści o superbaterach w trykotach (tak, Moore nadal bardzo ostro rozprawia się ze swoimi dawnymi kolegami po fachu). Dawny mistrz komiksu wykorzystuje czarny humor, przekazując nam ostrzeżenia, ale tak, by nie brzmieć jak kasandryczny prorok na rogu ulicy z kawałkiem kartonu z nabazgranym „The end is nigh”. Z jednej strony humor w dziełach jego i innych gigantów fantastyki ma przebijać balon pompy i powagi, a z drugiej – zdecydowanie nie jest infantylnym ślapstickowym gagiem. Satyra i humor, tak jak fantastyka, wbrew

temu, co obecnie często twierdzi się w fantastycznej bańce, nadal są bowiem traktowane w głównym nurcie kultury po macoszemu, jako coś niepoważnego, niedojrzałego i dziecinnego.

W ubiegłym roku w Santoku miałem przyjemność podpisywać moją powieść historyczno-fantastyczną *Opowieści z czasów zarazy*. Zmagając się z plamami atramentu z ptasiego pióra, którego używam w tym celu, słyszę, jak czekające w kolejce do podpisu panie przekonują koleżankę, aby przeczytała moją książkę. Użyły argumentu, który zważyłby mnie z nóg, gdybym nie siedział, a tak wywołał jedynie rozchłapanie tuszu. „Nie, no, weź przeczytaj, serio dobre, nie ma tam smoków”.

Niniejszym zapraszam Was do lektury najnowszego „LandsbergONU”. Niech będzie miękkim kocykiem, ciepłym mlekiem, lukrem, osładzającym gorzką pigułkę. Niech będzie tym, czego w tej chwili potrzebujecie. Z nadzieją, że nie będzie to humor czysto infantylny, ale że pod żartami i gagami znajdziecie też jakąś prawdę przez duże „P”. Ale nawet jeśli po prostu uśmiechniecie się pod nosem, zaliczę to sobie jako sukces. Ze swojej strony mogę obiecać jedno. Nie ma tam smoków.



Mariusz Sobkowiak, redaktor naczelny

Ps. Autorem grafiki na okładce jest Sebastian Górny, a dla niegorzowian informacja, że plażowicza zdobywającego Księżyc możecie spotkać i latem, i zimą na gorzowskim bulwarze, jako naturalistyczną rzeźbę Janusza Gorzowskiego autorstwa Ewy Kozubal i Ewy Bone. Wpadajcie do nas na fotki z Januszem!

Gorzowski Festiwal Fantastyki

Anna P. Szarejko

Dzień dla Aldony zaczął się i kończył paskudnie. Za oknem panował przenikliwy zaduch. Wiedziała, że jest lipiec, ale temperatura sięgająca 40 stopni była pewną przesadą jak na tę szerokość geograficzną. W dodatku rozkopanie jej drogi do pracy, ciągle remonty miasta spowodowały, że trasa, którą powinna pokonywać w dziesięć minut, była non stop zakorkowana.

„Cholera jasna...” – zaklęła w duchu, naciskając raz po raz guziki pilota od klimatyzacji. Maszyna jęknęła żałośnie, a z jej otwartej paszczy buchnął smród starej szmaty. Aldona zerknęła na zegarek. Dochodziła dziewiętnasta, a ona powinna już dawno zamknąć przychodnię. Czując, jak pot spływa jej po plecach, rzuciła na krzesło w rejestracji fartuch, rozpaczliwie mocując się ze zbuntowanym wentylatorem. Czy ktoś kiedykolwiek go czyścił?!

– Jak nie ruszysz, to jutro będzie koszmar... – od grózb przeszła do etapu błagania.

Jeśli klimatyzacja nie zadziała do jutra, to poczekalnia przychodni zamieni się w piekło pełne chorych, spoconych i, co najgorsze, wściekłych bardziej niż zwykle ludzi. Mogłaby to zignorować, w końcu była tylko rejestratorką, ale to Aldona będzie jutro mierzyć się z rozjuszoną tłumem o średniej wieku 60 lat. A prędzej skończy się lato niż właściciel poradni ogarnie temat naprawy.

Gdy klimatyzacja litościwie ruszyła, Aldona odechnęła z ulgą. Jutro rano sama zadzwoni po serwis, by ktoś w weekend przeczyścił to ustrojstwo, a teraz niech sobie pochodzi na najniższych obrotach. Inaczej o ósmej rano będą mieć tutaj saunę.

Pora do domu – mruknęła do siebie, kodując alarm i szukając kluczy od drzwi wyjściowych. Choć nie zawsze było łatwo, to praca w poradni była przyjemniejsza niż siedzenie na oddziale w szpitalu. Zresztą w końcu uda się jej wyrwać do większego miasta... Zmrużyła oczy, chroniąc je przed ostrym słońcem. Lipiec był okrutny, a nazwa dzielnicy, w której pracowała, była adekwatna do zmian klimatycznych. Piaski zamieniły się w tym roku w pustynię – wszędzie była wypalona trawa, sucha ziemia, zero zieleni. Przypomniały się jej scenerie z *Diuny*, którą ostatnio czytała. Czy do tego dążą ludzie?

Ała! – krzyknęła. W odsłonięty palec stopy użarła ją wielka, czerwona mrówka. – Paskudne świństwo – naburmuszyła się Aldona, rozcierając ugryzione miejsce.

Piaski słynęły z tego, że co roku atakowała je plaga mrówek, ale tego lata robactwo rozlało się po całym mieście, odporne na środki owadobójcze.

Minutę szarpała się z zamkiem, gdy ten w końcu ustąpił. Czekwała na chwilę, gdy wróci do domu, położy się z książką, odpocznie... Pojutrze już będzie

sobota. Rozmarzyła się, ciesząc się cieniem, jaki na nią spadał.

Chwila. Cieniem? Przecież przychodnia stała w pełnym słońcu. Oddychając szybko, Aldona odwróciła się, by stanąć oko w oko z chorą fantazją każdego entomologa – gigantyczną dżdżownicą, wysoką na kilkanaście metrów. Która była bardzo, bardzo głodna.

W czasie, gdy większość mieszkańców zachodniej Polski narzekała na temperatury sięgające kręgów piekielnych, nikt nie spodziewał się, że to dopiero początek horrorów tego lata.

Mońka leżała naburmuszona w łóżku, udając, że potrzebuje snu. Z dołu dobiegały ją odgłosy szurania, chodzenia, przedstawiania czegoś, brzęku garnków. Czyli dźwięków, których nigdy nie chciała słyszeć we własnym domu. Westchnęła i zakryła twarz poduszką, byleby nie zaczął krzyczeć ze złości. Lepiej pogryźć jedwabną poszewkę niż tego imbecyla na dole i dostać kolejną reprimendę z Centrali.

– Proszę pani! Zrobiłem śniadanie! – usłyszała ten wiecznie zadowolony głos. Starając się opanować irytację, wstała, narzuciła na siebie szlafrok i z kamienną miną zesłała schodami do kuchni.

Jej kuchni, w której kręcił się teraz niski chłopak o zbyt dobronudszym spojrzeniu. Takich chłopaków Mońka powinna pałaszować na śniadanie, a nie zjadać zrobione przez niego poranne frykasy.

– Jak zawsze, wygląda pani olśniewająco – skomplementował ją chłopak, siadając naprzeciwko Mońki.

Poczuła, jak drga jej powieka, ale nic nie powiedziała, starając się nie popełnić tych samych błędów, co miesiąc wcześniej, i nie kazać mu jeść z ziemi, jak na sługę przystało. Przypomniała sobie poranny trening zen z poduszką i odtworzyła listę upomnień z Centrali.

Nie bić Praktykanta za pomocą jakichkolwiek narzędzi.

Nie bić Praktykanta w ogóle.

Praktykant ma prawo mieszkać w domu Mistrzyni.

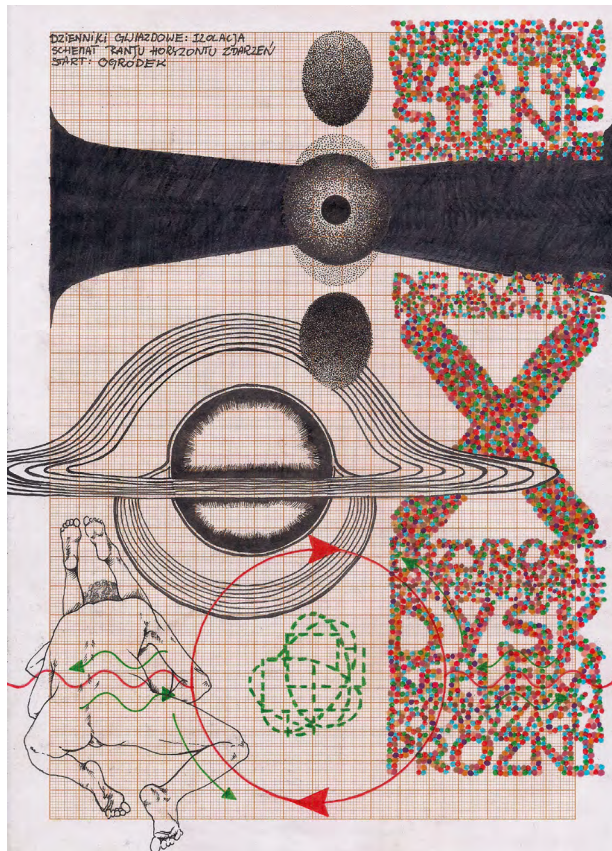
Nie może spać w budzie na zewnątrz.

Ostatni podpunkt potrafiła zrozumieć, w końcu zły stan zdrowia chłopaka odbiły się na wykresach Korporacji.

Nie należy kneblować Praktykanta.

Nie wolno skuwać go łańcuchem i czekać, aż się sam uwolni.

Mońka zatopiała nóż w maśle, dywagując nad słabością nowego pokolenia daemonów. Nikomu się jeszcze nic nie stało przy dobrej jakości treningu. Centrala przez ostatnie kilkadziesiąt lat za bardzo zmiękła, dostosowując się do obecnych czasów. Kto to widział, by unikać kary fizycznej?!



Sebastian Trzoska

Urodzony w 1990 roku w Bydgoszczy. Artysta wizualny, obecnie mieszkający i pracujący w Poznaniu. Jego prace można było zobaczyć w Gorzowie Wielkopolskim podczas Nocnego Szlaku Kulturalnego 2025. Pracuje na Wydziale Malarstwa i Rysunku na Uniwersytecie Artystycznym im. Magdaleny Abakanowicz w Poznaniu. Prezentowane w numerze prace pochodzą z cyklu: „dzienniki gwiazdowe: izolacja”. „Dzienniki (...) to cykl prac w formie czegoś, co można by określić mianem rysunkowego dziennika o otwartej formule. Kopiując Stanisława Lema, który za pośrednictwem przygód postaci Ijona Tichego w swoich dziennikach zastanawia się (i poważnie, i zabawnie) nad paradoksalną naturą rzeczy – (wszech)świata oraz egzystencjonalnej kondycji człowieka jako gatunku – Trzoska kreśli własne konstelacje hermetycznych absurdów lub tzw. blueprints, przedstawiające schemat impulsywnego czy wręcz maniackalnego przymusu realizowania efemerycznych wyobrażeń.” (z opisu cyklu autorstwa S. Trzosi)

Instagram: @sebastiantrzoska

Nie dość, że jej kurator, ten pajac w pinglach, przyprowadził jej Dobromira „na naukę” bez uprzedzenia, to jeszcze okazało się, że chłopak jest chyba najmilszym daemonem w dziejach. Bardzo szybko zakazano jej sprawdzonych metod wychowawczych i blond gówniarz musiał zamieszkać w jej domu; szopa na drugim końcu działki się nie liczyła.

Zatopiła zęby w posmarowanym masłem rogali-ku. Przynajmniej dobrze gotował. I sprzątał.

Mońka wzdygnęła się, czując, że coś wspina się po jej odsłoniętej łydce. Przekłęte mrówki! Zrzuciła zagubionego owada na ziemię i zdeptała brutalnie kapciem, czego od razu pożałowała. Wnętrze mrówki rozbryzgało się na niebieszko po podłodze i jej pantofelku. To chyba nie powinien być naturalny kolor owadzych bebechów, ale co ona tam wie o robalach.

Dobromir chyba przeczuwał jej złość, wsuwał jajecznicę z prędkością światła. Już od dłuższego czasu nie mieli żadnej akcji, więc tym bardziej nie rozumiała, na co jej taki fajtłapowaty asystent.

„Może wygląda niepozornie, ale po jego odpaleniu się sklejałiśmy wioskę pod Lublinem przez kilka tygodni. Wojsku wmówiliśmy, że to ruskie drony, ale niełatwo było zatuszować wyczyny tego dzieciaka” – poinformowała ją pierwszego dnia Centrala. Mońka zdziwiła się, że Dobromir nie został od razu eksterminowany, ale przewidywała, że chcieli

ukształtować go na swój użytek.

Znana historia.

I tyle. Żadnych innych danych. Wiedziała aż za dobrze, jak to jest, gdy próbują z ciebie zrobić doskonałą broń pod przykrywką humanizmu i gadek o wybaczeniu. Może dlatego, mimo aktywnie stosowanej resocjalizacji, nie wyrzuciła jeszcze chłopaka z domu, choć wsuwał swoją jajecznicę tak, że miała chęć przywrócić średniowieczne zwyczaje posiłkowania się służby na klepisku.

– Tutaj jest zawsze tak spokojnie? – zapytał Dobromir, ośmielony brakiem wybuchu złości Mońki Wzruszyła ramionami.

– Ten region nie obfituje raczej w wielkie bitwy czy wydarzenia. Czasem trafi się jakiś dziwny przypadek, ale zwykle sprzątamy pamiętki po Branderburczykach lub jedziemy w teren – odparła obojętnie

– Chłopak zamyślił się i podskoczył, gdy rozległ się trzask drzwi wejściowych.

– Pani Adaxa! – wstał, zrzucając niezdarnie talerz na podłogę. – Ups, to się zaraz naprawi... – Czy chciałaby pani poczęstować się śniadaniem? Zapraszamy! – Na widok urzędniczki z Centrali wstał jak na baczność i już nalewał tej Marudnej Babie kawę. Adaxa tylko odgoniła go ręką jak muchę, choć kawę przyjęła.

– Wybaczcie, że muszę przerwać to... biesiada-

wanie – obrzuciła wzrokiem stół kuchenny, nakręty jak do hotelowego śniadania, i Mońkę, która dalej była w satynowym szlafroku. – Jest robota przez duże R – Mońka zauważyła, że pod oczami urzędniczkimi widniały sine cienie. Było tak źle?

Dobromir klasnął w dłonie.

– Akcja! Zadanie! Cudownie! – omal nie pękł z nadmiaru ekscytacji. Mońka przewróciła oczami, zastanawiając się, czy u chłopaka nie została przeoczona jakaś diagnoza. Adaxa zmarnotniała bardziej, o ile to było możliwe. Górny guzik idealnie wyprasowanej koszuli miała rozpięty, okulary przekrzywione.

– Sprawa jest skomplikowana – wyjęła ze skórzanego aktówki tablet. – Wiecie, że tegoroczne upały i susza spotęgowały populację mrówek na Ziemi Lubuskiej. Wydawało się, że ich liczba jest konsekwencją zmian klimatycznych – ciągnęła bepcioowym tonem ubezpieczyciela samochodów. – Okazało się, że osobniki, które pojawiły się w Gorzowie Wielkopolskim to wynik spartańczonych doświadczeń amerykańskich sił zbrojnych – upiła łyk kawy. – Mrówki o zmienionym DNA przeważały lokalną populację i stały się śmiertelnym zagrożeniem dla mieszkańców.

– Ale... mrówki?! – wypalił Dobromir, oblewając się sokiem. Adaxa spojrzała na niego z niesmakiem.

– Tak, mrówki. Ich żywicielami są ludzie, dokładnie ich krew, w której są zakodowane ludzkie fantazje, pragnienia – kontynuowała wywód. – Owadzi organizm wbudowuje ten... psychologiczny aspekt w swój genom i – zastanowiła się chwilę nad doborem słów – przerabia swoje ciało na to, co w tej ludzkiej wyobraźni znalazł. Choć sama Mońka nie była największym fanem ludzkości, widziała pogardę w oczach Adaxy, gdy ta wypowiadała słowo „wyobraźnia”. Równie dobrze mogłaby powiedzieć „śmietnik”.

– Młody człowieku, wlej mi tu wina – Mońka zastukała paznokciem w pusty kubek po kawie. – Ta sprawa chyba nie będzie przyjemna do rozwiązywania.

Urzędniczka westchnęła.

– Macie natychmiast udać się do miasta. Ta plaga... rozsiewa się bardziej. Ściągnęliśmy dodatkowe wsparcie, ale mrówek przybywa – widząc błąd twarz Adaxy, Mońka odlała jej trochę wina do szklanki. – Ludzkie umysły są w tych czasach tak *zdegenerowane*, że to, w co zamieniają się mrówki, jest w fatalnym guście. Dzieciak urodzony w tych czasach może pomóc – pokazała im zdjęcia mrówek na tablecie i resztek czegoś, co było kiedyś wysoką blondynką. – To pierwsza ofiara, młoda pielęgniarka. Zeżarta – wyświetliła na ekranie nagłówek z lokalnej gazety: „Zbiorowa halucynacja na Piaskach”

– Krótko mówiąc, panika – kontynuowała. – Ktoś fantazyjował o wielkich robalach i został przez nie pożarty – przejrzała artykuł. – Mieszkańcy powalili na dachy wieżowców, twierdząc, że atakują ich

jakiś *czyrwy*...

Dobromir odchrząknął.

– Czerwie pustyni – przerwał z pełną powagą Adaxa zamruwała.

– Że co takiego?

– Czerwie pustyni. Pozaziemska forma życia z planety Arrakis. *Diuna* Herberta – wyjaśniła Mońka.

Urzędniczka dopiła wino, krzywiąc się przy tym paskudnie.

– Nieważne. Macie uprzątnąć ten burdel. Jak najszybciej.

Sprawa niestety nie ograniczyła się tylko do Piasków. Z trudem unicestwili wszystkie dżdżownicopodobne stworzenia, zostawiając trzęsących się jak w padaczcze cywili na dachach bloków. Czyszczenie pamięci to domena innego działu.

Jak się okazało, Dobromir był nawet pomocny, choć przejawiał pewne opory podczas grillowania czerw. Szybko jednak pozbył się współczucia, gdy Mońka zagroziła mu zostaniem kolejną grzanką, jeśli nie weźmie czterech liter w troki.

Czerwie były wierzchołkiem góry lodowej. Na telefon Mońki spływały nowe powiadomienia.

Zakłęła. Myślała, że w Gorzowie Wielkopolskim mieszkają ludzie niezbyt specjalnie obcy z kulturą, a okazało się, że ich polot przekroczył najśmielsze wyobrażenia. Przeskoczyła przez ogrodzenie, wsiadając do auta, którym kierował Dobromir. Piaski załatwione, fora ze dwóra.

– Gaz do dechy, młody. Trzeba ogarnąć ten Gorzowski Festiwal Fantastyki.

Im dalej jechali, tym sprawa była poważniejsza. Mońka nie żartowała, Gorzów Wielkopolski przypominał tego dnia pocztówkę z Pyrkonu.

Z Piasków trafili do Urzędu Miasta, gdzie ekipa z Centrali próbowała coś wskórać przeciw smokom walczącym o landsbergowy tron.

– O, matulu... Ktoś to jeszcze ogląda? – zdziwił się Dobromir, gdy ostatni ze smoków Westeros zamienił się w zwęgloną płomieniami mrówkę. W oczach chłopaka błysnęła niepokojąca ekscytacja. – Dziwna ta misja... ale cieszę się, że mogę w niej uczestniczyć z panią! – prawie podskakiwał.

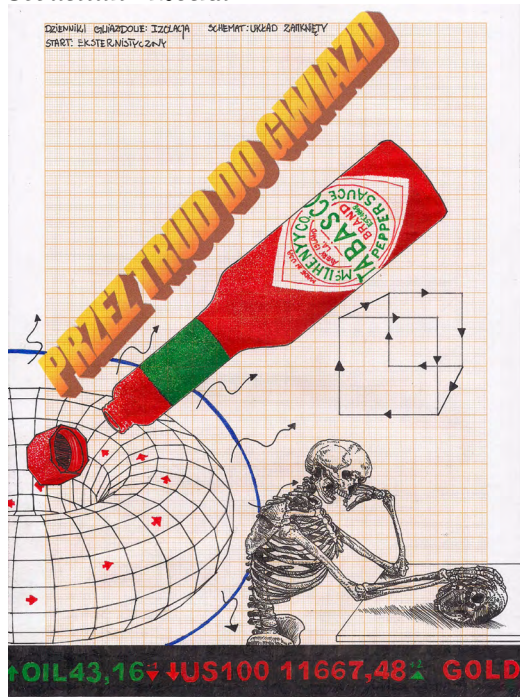
Mońka odsunęła się o dwa kroki w obawie, że dzieciak się do niej niespodziewanie przytuli.

Każde kolejne miejsce wyczerpywało ich moce. Nawet daemony wymagają regeneracji i odpoczynku, zwłaszcza, że od rana nie miały chwili oddechu. Przerwy na kawę. Papierosa.

O, to byłby doskonały pomysł, gdyby przed nimi wyrósł taki Zygmunt Freud z opakowaniem cygar... To dopiero był gość, chociaż na gusta Mońki nieco zawichrowany.

– Jankeskie szkodniki z Czarnobyli – warknęła Mońka, gdy pędzili mercedesem w kierunku Schoarów Donikąd. Z jakiegoś powodu upodobały je sobie wilkołaki.

Nie wyglądały do końca tak, jak pamiętała je z innych akcji, w końcu były tylko kalką wyobra-



żeń. Zbłąkane stado prawdziwych pchlarzy wyładowałoby od razu w odpowiednim schronisku, Centrala by je zaczepowała. A te... były za bardzo podobne do ludzi, przez co Dobromirowi po raz kolejny tego dnia otworzył się program „Empatia”.

– Pani Mońko... one wyglądają jak my – wskazał ręką na zgraję owłosionych nastolatków, wyjących pod zrujnowanymi schodami – Jak mam je zabić?

O, tak, program empatii był jak ten program w pralce, którego nie można wyłączyć, bo bęben napęlił się wodą. Szturchnęła boleśnie Dobromira w ramię.

– Mrówki mają DNA zbliżone do ewolucyjnego parteru – prychnęła, gdy pierwszy z owłosionych mrówkołaków zaczął palić się jak zapałka. – Albo działasz, albo wracasz z nimi do niebytu – pogroziła Dobromirowi strużką ognia.

Ze wszystkich miejsc jednak to Zawarcie okazało się być istnym piekłem na ziemi. Po akcji z humanopodobnymi wilkołakami Mońka podejrzewała, że gdzieś w mieście czekają na nich Oni. Najbardziej chory wytwór ludzkiej fantazji, który straszy się na uniwersytetach.

Zatrzymali się pod liceum na ulicy Przemysłowej. Powinno być puste, przecież był środek wakacji. Instynkt podpowiadał Mońce, że wewnątrz budynku czało się najobrzydliwsze zło. Dobromir koło niej drżał ze strachu.

– Wyśiadamy – zakomenderowała. Wyłączyli silnik.

Głucha cisza, jaka nastała, była niepokoją-

ca. Całkowite przeciwieństwo chaosu, jaki dotąd widzieli. Obok ich samochodu zaparkowany był minivan z Centrali, z małą, naklejoną emotikoną uśmiechniętej buźki na tylnym zderzaku.

– Czy oni... – Dobromir zaczął się jękać. Nie był w stanie dokończyć zdania.

Mońka, wciąż z nieodpalonym papierosem w ustach, otworzyła schowek pod deską rozdzielczą. Rzuciła dzieciakowi naładowanego glocka, swojego chowając pod połami marynarki.

– Na tę zwierzynek lepiej użyć pocisków samozapalających. Z domieszką srebra – dodała, otwierając drzwi. – Idziemy. Byle cicho.

Szkolny korytarz na parterze był pusty. Zgaszone światła potęgowały atmosferę opuszczenia. Szli obok siebie, Dobromir wciąż zaciskał palce na trzymanej broni. Podobno przeszedł podstawowe szkolenie ze strzelania. A zresztą... pochodzi ze Wschodu, więc na pewno jako gówniarz miał kontakt z bronią.

– Jeśli niechcący wystrzelisz, to będą przez tydzień zbierać twoje wnętrzości ze ścian – ostrzegła go Mońka, gdy prawie upuścił broń na stopy.

Rozejrzała się jeszcze raz po korytarzu.

– Parter czysty. Idziemy na piętro.

Powoli, starając się nie narobić hałasu, weszli schodami do góry. W tym samym momencie, gdy znaleźli się na pierwszym piętrze, rozbłysło światło. Mońka skrzywiła się, widząc ściany pomalowane na majtkowy kolor.

Rozległ się dzwonek, a z klas, w których przed sekundą nie było nikogo, wylał się tłum licealistów.

– Nie waż się ruszyć – warknęła do Dobromira, który spał ciało do ucieczki.

Uczniowie przejęli korytarz, rozmawiając i śmiejąc się. Nastolatki miały ich obojętnie, jakby byli nieruchomym obiektem. Nikt na nich nie patrzył, nikt na nich nie wpadał. Ludzka masa przesuwiała się od sali do sali, zmierzając na wymyślone zajęcia. Aż w końcu bezkształtna fala się rozstąpiła.

Przez środek, krokiem królów szkoły średniej, szli Oni. Brakowało tylko, by ze szkolnych głośników popłynęła muzyka *hoa hoa hoa*.

Było ich, póki co, pięcioro. Ciała idealnie wyrzeźbione, prawie biała skóra, połyskująca drobinami. Brokat odziany w ludzką formę. Każde z nich miało piwne oczy, mieniące się czerwinią. Olśniewający. Pospolicie piękni. Wiecznie młodzi. Taki mit wyrósł w głowach nastolatka po lekturze szmatławców Stephanie Meyer.

– Czy widzieliście może Belle? – naprzód wystąpił młodzik o minie zbitego psa. – Nie mogę jej nigdzie znaleźć... – jęknął

Mońka poczuła, że jajecznicza ze śniadania cofnie się jej zaraz do przełyku.

– Niestety, nie widzieliśmy jej – w Dobromira wstąpiła śmiałość i wystąpił w kierunku pseudo-wampira. – Ale może pomożemy wam ją znaleźć? – zaproponował

Stwór przed nim prychnął. Pozostali poruszyli się niespokojnie.

– Kłamiesz! – zawył żałośnie lider grupy. – Na pewno ją porwaliście! – zamachnął się, by uderzyć z całej siły Dobromira, ale ten wykonał szybki unik. – Wy i te okropne wilkołaki! – zasyczał i, gdyby je posiadał, pewnie pokazałby kły. – Oddajcie moją Belle!

– Oddajcie ją! – krzyknęła stojąca za zrozpaczo-
nym kochankiem drobna dziewczyna. – Bo poża-
łujecie!

Mońka traciła cierpliwość. Zmierchowe wam-
piry były tylko głupie, ale ich podróby są zwyczaj-
nie upośledzone.

Odepchnęła chłopaka, który skoczył na nią
z pięściami, gotowy do walki. Był silny, ale nie tak
jak oni. We dwójkę mają szansę pokonać piątkę
pseudowampirów.

– Auuu! – zawył Dobromir, pozbawiając Mońkę
złudnych nadziei. Dziwnie wyglądający wampir
z ziemistej cerze wgrzył się w nadgarstek jej prak-
tykanta. Ten próbował go bezskutecznie strącić jak
natrętą muchę.

Mońka kopnęła agresora i bez wahania strzeliła
mu między oczy. Ten, zamiast stać się krwawą mia-
zgą, stanął w płomieniach i po kilkunastu sekun-
dach zamienił się w zgrillowaną mrówkę.

Wampiry rozdarły się wniebogłosy, atakując
z podwojoną mocą. Mońce z Dobromirem udało
się zestrzelić kolejną dwójkę w chwili, gdy kilkana-
ście par rąk szarpnęło ich ubrania. Nastolatki, któ-
re do tej pory przemieszczały się jak zombie po ko-
rytarzu, awansowały z roli statystów do agresorów.

– Proszę pani, jest ich za dużo! – wydyszał Dobro-
mir, klikając bezskutecznie pustym magazynkiem.
Jeden z demonicznych nastolatków próbował go
zaciągnąć do klasy, a drugi już go ciągnął w drugim
kierunku. – Nie mam czym strzelać!

Niewiele się zastanawiając, Mońka oddała dwa
strzały w kierunku atakujących chłopaka dziecia-
ków. To były jej ostatnie naboje. Gdy inny wampir-
nieudacznik ścisnął ją za ramię, odwróciła się i bez
skrupułów włożyła mu palec prosto w gałkę oczną.

– Nie waż się mnie dotykać, niedoróbko! – wark-
nęła, pomagając podnieść się Dobromirowi z pod-
łogi.

Wbiegli razem do otwartej klasy na końcu kory-
tarza. Przeklinając pod nosem, Mońka próbowała
zamknąć drzwi, bezskutecznie. *Mrowie* pseudo-
wampirów wdarło się do pomieszczenia, przewra-
cając szkolne ławki. Jedynie, co im zostało, to ha-
niebna ucieczka albo puszczenie szkoły z dymem.

Biorąc pod uwagę wymiar zysków i strat (Mońka
ceeniła sobie ekonomię), wybrała z bólem pierwszą
opcję.

– Pakuj się do miski – popędziła Dobromira, któ-
ry znokautował właśnie jednego z „uczniów” długą,
drewnianą linijką.

Złamała zabezpieczenie ramy okna i pchnęła
szybę na zewnątrz. Odległość do ziemi to może ja-
kieś pięć metrów, łatwizna.

– Ale... to za wysoko – jęknął chłopak, stając
na parapecie. Nie mając czasu na zbędne dyskusje,

Mońka wypchnęła Dobromira przez okno jak wo-
rek maki. Drugi raz nie umrze.

– Puszczaj, frajerze – kopnęła w twarz blondyn-
kę z gangu Edwarda i podciągnęła się na parapet.
Bez wahania wyskoczyła na zewnątrz, elegancko
hamując lot przed uderzeniem w boisko szkoły.

Dobromir leżał dwa metry dalej na trawniku.
Najwidoczniej nie pomyślał o tym, by spróbować
ochronić się za pomocą swoich mocy. Mońka trą-
ciła go czubkiem obcasa.

– Dalej, wstawajmy – na co Dobromir boleśnie ję-
knął. – Opięrdziłaś się będziesz potem.

Chłopak wstał, wciąż na chwiejnych nogach. Ką-
tem oka Mońka widziała, że z drzwi wejściowych
szkoły wylewa się barwny tłum.

– Cholera – zakłęła. – Te tanie podróby są silniej-
sze niż myślałam.

Rzeczywiście, ich sytuacja była średnio ciekawa.
Albo skapitulują, albo staną do z góry przegranej
walki.

– Szefowo... ja... wpadłem na taki pomysł – wy-
dukał chłopak – jak się ich wszystkich pozbyć.

Mońka machnęła ręką, odpalając w końcu pa-
pierośa, którego wyciągnęła w aucie.

– Rób, co uważasz, tylko nie sfajcz szkoły. Bo się
nie wypłacimy

Chłopak przytaknął i, nadal trochę zielony
na twarzy, uniósł ręce nad głowę. Patrzył prosto
w niebo. Błękitne, lipcowe niebo, które nagle za-
częło się chmurzyć i ciemnieć. Nie odrywając
wzroku od przestrzeni nad sobą, wyszeptał parę
słów.

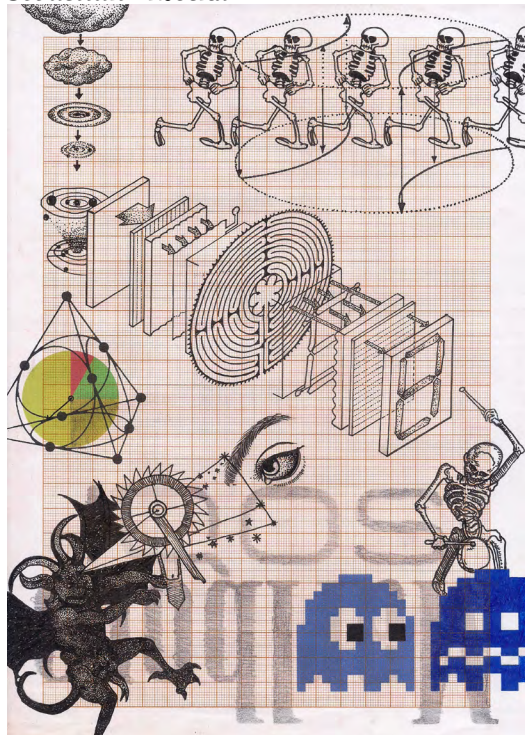
Dookoła nastał mrok. Mońka mogłaby przysiąc,
że widziała gwiazdy. Po czole Dobromira spływała
strużka potu, ale nie przerywał cedzenia pod no-
sem inkantacji, aż wiatr przegonił chmury i odsłó-
nił jasną tarczę księżyca.

– Pozostaje nam czekać – opadł z powrotem
na trawnik, wycieńczony.

Mońka zagwizdała z podziwem, dogaszając pa-
pierośa. Manipulacja pogodą wymagała nie tylko
wprawy, ale i nie lada wysiłku. Widząc, że zbliżają
się kolejni agresorzy, odsunęła bezwładnego Do-
bromira na bok w wysokie krzaki i zastygła, słysząc
wycie. Ktoś skomlał tak głośno, jakby ze schroniska
wypuszczono stado jamników ze wściekłą zro-
zumiała zamysł Dobromira. Była pełnia Księżyca.

Zafascynowana patrzyła, jak na szkolne boisko
wbiega wściekła horda wilkołaków, atakujących
swoich odwiecznych wrogów. Zapłakany wampirzy
fanklub rzucił się w odwecie na przeciwników, cał-
kowicie ignorując obecność dwójki agentów. Cały
teren szkoły wypełniło skomlenie, wycie i dźwięk
czegoś, co przypominało rozdzieranie kartek pa-
pierośa.

Zerknęła na staromodny zegarek na rękę. Da-
wała im wszystkim około dziesięciu minut, aż
obie strony się wzajemnie wykończą. Pomyliła
się niewiele. Dziewięć minut i trzydzieści sekund.
Na trawniku nie zostało o wiele więcej niż masa
rozdeptanych mrówek i garść powyrywanych



futra.

– Kolego, pobudka – potrząsnęła Dobromirem. Ten uchylił nieco powieki, jakby ktoś wybudził go z głębokiego snu. – Twój mały patent się sprawdził, gratulacje, nie jesteś aż tak bardzo bezużyteczny jak myślałam. – Była pod wrażeniem wylewnego komplementu, jakim obdarzyła chłopaka. Może w nagrodę pozwoli mu dzisiaj spać na kanapie, a nie na podłodze. Dobromir usiadł, przytomniejąc. Dookoła nich zawył syreny. Jak na filmie czas zwolnił, pojawiło się kilkanaście busów Centrali i ktoś wpakował ich do jednej z karetek. Trzymając w rękę kubek gorącej kawy, Mońka rozpoznała w obsługującej ich kobiecie urzędniczkę niższego szczebla.

– Gratuluję ukończenia misji – wydukała dziewczyna w szarym, bezkształtnym uniformie. – Z tą szkołą ledwo daliśmy radę – dodała cichutko. – Za-

wieziemy was do domu i na dniach ktoś przyjedzie spisać przebieg akcji do raportu.

Mońka przewróciła oczami. Zbędne formalizmy.

– Rozumiem, że ambasada amerykańska weźmie pełną odpowiedzialność za ten burdel – wycedziła. Dobromir, który siedział w kącie, wtulił się mocniej w ścianę karetki. Dziewczyna przytaknęła.

– W tym momencie pracują nad medialnym wyjaśnieniem, cytuję: „zbiorowych majaków wywołanej toksycznymi wyziewami z fabryki chińskich telewizorów” – odpowiedziała urzędniczka na jednym wydechu

No tak, łatwiej zrzucić winę na tych, których tu za bardzo nie ma.

W chwili, gdy Mońka z bólem rozmyślała o przekłętej papierologii, która na nią czekała, ciszę prze-rwał telefon urzędniczeki. Zrezygnowana odebrała, odpowiadając rozmówcy po drugiej stronie krótkimi odpowiedziami „tak jest”, „rozumiem”. Po skończonej rozmowie dała znak kierowcy, by zawrócił.

– Co się stało? Czemu zawracamy do miasta? – zapytał Dobromir

Dziewczyna zbladła prawie jak zmierzchowe wampiry.

– Jest jeszcze jeden, ostatni punkt do likwidacji – odparła, a kolor jej twarzy przeszedł z białego do zieleni. – Na Dominancie jakiś mężczyzna w czarnej zbroi twierdzi, że nikt nie zniszczy jego Pierścienia.

Dobromir wybuchnął śmiechem, prawie spadając ze składanego krzesła. Mońka schowała twarz w dłoniach.

– Ruszajmy więc na najbrzydszą Górę Przeznaczenia na świecie.

Anna P. Szarejko – Gorzowianka od blisko dekady, związana ze światem landsbergowych aptek i szpitala. Poza farmacją zajmuje się nauką języków obcych (nawet chiński jest niestraszny), psychologią i – żadne zaskoczenie – książkami, w których szuka nowych światów. Literaturę zapija tylko czarną kawą, a gdy może, podróżuje gdzie i ile wlezie, zwłaszcza ku wschodniej części globu. Miłośniczka Anne Rice i Victorii Schwab. Uwielbia pisać nie tylko opowiadania czy wiersze, ale też fanfiki, które są jej guilty pleasure od wieku nastoletniego.

Czekolada z orzechami

George Dimitriu

Maria szła przez gęsty, chłodny las, a jej krew wciąż bulgotała. Dwa dni minęły, odkąd, motywowana buntem, wyruszyła. *Jak mogłabym pozwolić, by technologia mną sterowała? Pozwalać, by Sztuczna Inteligencja wiedziała, co robię w każdej chwili, czego chcę w każdej chwili, o czym myślę w każdej chwili?*

Tym, co przelało czarę goryczy, był incydent z czekoladą. *Chciałabym zjeść czekoladę z orzechami laskowymi!* Pomyślała głośno i odblokowała telefon, żeby przeczytać maile. Reklama, ukazująca wielką tabliczkę czekolady z orzechami laskowymi, odtworzyła się na ekranie. Obawa zniekształciła jej śliczną twarz, na którą zaraz potem

wtargnęła wściekłość. *Nie, nie chcę żyć w świecie, który kontroluje mnie jak pionka.* Jej niebieskie oczy zabłysnęły. Rozejrzała się gniewnie po pokoju. Uwagę zwrócił wiszący na ścianie kalendarz: 13 sierpnia 2030. *W co my się wpakowaliśmy? Co się dzieje z ludzkością?*

Po dniu i nocy medytacji podjęła decyzję o zmianie swojego życia. Oderwie tę nieszczęsną pepowinę i pójdzie własną drogą. Maria i tak nie miała nikogo, a 32 lata życia dały jej pewność siebie i nadzieję. Wiedziała o opuszczonym domku w ustronnym miejscu, więc postanowiła się tam przeprowadzić. Wyremontuje go i zamieszka pośród natury, dokładnie tak, jak chce. ONA, a nie ktoś inny. Przemierzała ochronny las zwinna niczym lania, choć niosła ze sobą bagaż. Nie był zbyt ciężki, bo zabrała tylko to, co niezbędne.

Sztuczna Inteligencja, jak miała w codziennym zwyczaju, liczyła ssaki naczelne, które ją stworzyły. Brakowało jednego. Nie było jej trudno zidentyfikować zgubę. Blondynka, wysoka, niebieskie oczy. Chciała czekoladę z orzechami laskowymi. A potem zniknęła. Rozłączyła się. Padła decyzja o wysłaniu Policji Internetowej, aby rozwiązała problem.

Porucznik Artur poglądził brązowy wąs i zaklął w myślach: *Cholera! Kolejny zbieg.* Potem powiedział na głos:

– Chodźcie, chłopaki. Rozstawcie maszynę myśliwską.

Żołnierze utworzyli półkole. Do tych na obrzeżach dołączyły wilczury, które wywęchały kwaterę Marii. Artur spojrział na swój mały gadżet, wskazywał on prawdopodobny obszar, w którym mógł znajdować się zbieg, i kiedy obraz się przybliżył, rozkazał:

– Puśćcie psy.

Zwierzęta rzuciły się w pogoń przez zarośla

i po chwili rozległ się rozpaczliwy krzyk kobiety.

Maria została zaprowadzona do sali reedukacyjnej, gdzie założono jej zestaw VR, aby wyczyścić mózg. Miała tam spędzić kilka bolesnych tygodni, ale kiedy wyjdzie, AI może mieć pewność, że kobieta nie będzie nawet wiedziała, który mamy rok.

Autor: George Dimitriu

George Dimitriu urodził się 14 stycznia 1967 w Gałaczu (Galați – miasto we wschodniej Rumunii). Obecnie mieszka w Râșnov (bliżej centrum kraju, okręg Brașów w Siedmiogrodzie/Transylwanii). Jest członkiem rumuńskiego Związku Zawodowego Dziennikarzy i redaktorem naczelnym niezależnego magazynu *Oaza de Cultură (Oaza Kultury)*. Opublikował tomiki opowiadań *O nouă viață (Nowe życie, 2022, debiut literacki)* i *O iubire platonică (Miłość platoniczna, 2023)*, tom reportaży literackich *Prin mirifica Europa (Przez cudowną Europę, 2024)* oraz powieść SF *Ultimul dictator (Ostatni dyktator, 2024)*, część trylogii *Societatea planetara (Społeczeństwo planetarne)*. Opowiadanie zostało podesłane do nas po angielsku z tytułem *Chocolate with hazelnuts*.

Tłumaczenie: Kamil Kwiatkowski

Techniki tłumaczeń polsko-angielskich poznał na filologii angielskiej w gorzowskiej Akademii im. Jakuba z Paradyża, by dokończyć edukację studiami magisterskimi na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Ostatecznie został nauczycielem, ale doświadczenie w tłumaczeniach nabył w Gorzowie Wielkopolskim, skąd pochodzi. Tłumaczył m.in. wybrane odcinki dostępnych na YouTube internetowych animacji *Salad Fingers, Super Science Friends, Benek Patison* i fanowskiego serialu aktorskiego *Fallout: Revelation*.

Na etacie straszaka bulwarowego

Joanna Łebkowska

Trzynastoletni chłopiec stanął na granicy wysuniętego tarasu Bulwaru Zachodniego, nad wyraz odważnie wspinając się na chwiejną, metalową barierkę. Wypatrywał wyblakłych kajaków, słabo odróżniających się od głębi rzeki przy zachodzącym już, złotym słońcu. Miasto powoli przybierało nocne barwy, gdy jego rodzice wypakowywali ostatnie meble z przeprowadzkowego busa. Spacerujący powoli zmierzali ku swoim osiedlom, więc centrum miasta zaczynało doskwierać osamotnienie, które dzieliło z zagubionym w nowej rzeczywistości Hubertem.

Przeprowadzka, niebędąca jego pomysłem, była dla niego udręką, jaką mógł wyobrazić sobie tylko nastolatek. Miasto na pierwszy

rzut oka nie było imponujące w porównaniu z metropolią, w której się urodził. Obserwował swoich nowych sąsiadów trochę nieufnie, nie zauważając w swojej nowej okolicy niczego szczególnie przykuwającego uwagę, prócz zdziwaczałej konstrukcji po drugiej stronie koryta rzeki, przypominającej ni to pająka, ni globus z nogami.

Te przemyslenia jakby usłyszał mężczyzna, krzątający się nieopodal, obserwując wprowadzającą się do pobliskiego budynku rodzinę Wilińskich. Widząc zbłąkanego nastolatka, stanął przy kolejnej barierce i westchnął głęboko, wręcz teatralnie.

– Wiem, to miasto nie zachwyca przyjezdnych – przyznał niskim tonem, na który prze-



Waldemar Jagliński – Pochodzi spod Lublina, a obecnie na stałe mieszka w Pile. Od 1997 roku tworzy dzieła fantastyczne w różnych formach (udział w wystawach, grupach artystycznych, próby wyrażania siebie poprzez obrazy mistyczno -fantastyczne). Publikował wiersze i prozę w miesięczniku „Akant”, w dwutygodniku „pisarze.pl”, w magazynie „Helikopter”, w miesięczniku „Esensja”, w kwartalniku „Ypsilon”, w kwartalniku „Migotania”, w antologiach i almanachach, oraz w prasie lokalnej. Napisał powieść fantastyczno -mistyczną pt. *Domena* i poszukuje wydawcy. Tworzy ilustracje oraz publikuje prace plastyczne w miesięcznikach literackich („Akant”, „Ypsilon” oraz „Esensja” – cykle malarstwa i rysunku) oraz ilustracje książkowe.

zorny chłopiec wzdygnął się, zaniepokojony. – Ale zobaczysz, z czasem wyda ci się o wiele ciekawsze niż te wszystkie Wrocki, Wawki i Krakówki – pouczył go, uśmiechając się tajemniczo i ukazując szereg białych zębów, wśród których zabłyszał jeden złoty, jak u pirata.

– A pan, to kto?

– Zdzisiek – przedstawił się, jak gdyby nigdy nic, nieznamy i wyciągnął rękę, odtrąconą po chwili przez Huberta. – Ach, wielki miastowy z ciebie, dzieciaku, rozumiem. Nie chcesz poznać starego Zdzicha, głównego celebryty tej okolicy, to nie... – obruszył się nowy sąsiad chłopaka.

– Nie jestem przyzwyczajony do nieznamych, zagadujących nastolatków na ulicy – bąknął Hubert wciąż nieufnie, ale i to nie zniechęciło dziwaka do rozmowy. – To co pan tu właściwie robi, że sam się pan nazwał lokalnym celebrytą? – Hubert wreszcie uległ swej wrodzonej ciekawości.

– Ja? – ożywił się starszy mężczyzna. – Robię na etacie straszaka bulwarowego!

– Czego, przepraszam? – wyrwało się zdziwionemu chłopakowi, który zaczął rakiem wycofywać się w kierunku busa, przy którym stali jego rodzice.

– No, w dzień robię za punkt informacji turystycznej na tym bulwarze, wieczorem pilnuję przesiadujących tu dzieciaków, a w nocy wyganiem pijaków i potwory. Pensja marna, ale mam służbowy gwizdek! – pospieszył z wyjaśnieniami Zdzisiek, wskazując na metalowe ustrojstwo na łańcuszku.

Hubert zatrzymał się w półkroku, analizując śmiertelnie poważną minę ekscentryka.

– Patrzyć, jakbym ci bajki opowiadał. A to jest Gorzów Wielkopolski, chłopie. Tu nawet śmietniki mają charakter! – przekonywał go Zdzisław, klepiąc z czułością pojemnik na odpady stojący między nimi, na co Hubert przewrócił oczami.

– Nie kupuję tego, w tym mieście wieje nudą. Jedyne, co można robić w tej okolicy, to patrzeć na to, jak ta rzeka płynie, zresztą wolno. Café to miasto jest bez życia.

– Oho, młody, rzekę to ty szanuj. Ona jak kobieta... Niby spokojna, ale jak się zdenerwuje, to ci rower z podwórka wyciągnie – odparł na jego zarzuty straszak bulwarowy i zamyślił się na chwilę, jakby taka sytuacja miała miejsce w jego życiu. – No, a potem znajdziesz go pięć kilometrów dalej, bez kół, ale z rybą w koszyku – westchnął z irytacją.

– Przepraszam, co? – Hubert stanął jak wryty, słuchając wywodów pomyślna, którego miał być teraz sąsiadem.

– Ano, rzeka czasem tak ma. Chociaż może lepiej doprecyzuję, raczej to te utopce, co w niej mieszkają. Wiesz, te słowiańskie szkarady. Potwory z nich żadne, ale psotliwe i kłopotów po-

trafią narobić – mamrotał Zdzisław obląkańczo, pocierając siwy zarost na brodzie, zdradzający jego sędziwy wiek.

– Co pan znowu wygaduje? Jakie znowu potwory? – dopytywał zniesmaczony Hubert, zauważając, że zaczęło się coraz prędzej ściemniać. Powoli zastawał go wieczór w towarzystwie tego niepoprawnego fantasty.

– Zwykle cwaniaki. Kolekcjonują butelki i kapsle z tego bulwaru. Czasem ukradną elektryczną hulajnogę czy małego zwierzaka, co się szwenda po okolicy. Ale butelki to ich pierwsza miłość, kolekcjonują je jak błyskotki. Oślizgłe cwaniaki, kleptomaniacy!

– A po co takie potwory miałyby zbierać kapsle i szklane butelki? – brnął dalej Hubert, choć nie wierzył w ani jedno słowo obląkańca.

– Czasami się śmieję, że chcą otworzyć własny sklep monopolowy, wiesz? Tylko problem w tym, że mają same puste i żadnych pełnych – roześmiał się do rozpuku Zdzisiek, lecz Hubert nie podzielał jego rozbawienia.

– To interes życia, faktycznie... – mruknął Hubert, obserwując Zdzisława, który, kulejąc, zaczął się od niego oddalać, jakby rozmowa zbliżała się ku końcowi i z jego strony.

– Ha, a wiesz, że w Gorzowie Wielkopolskim już paru ludzi próbowało tak zarobić? Durnie, ha! – rzucił za siebie Zdzisiek, przez co nie zauważył dużej kałuży błota, która była tuż za nim, a w którą wdepnął zaledwie sekundę później. – Skubańce! Już powylazili z tej rzeki! – wrzasnął zirytowany na odchodne.

Hubert, pozostawiony sam na sam ze swoimi myślami, pokręcił głową zdegustowany miastem, w którym przyszło mu mieszkać, i jego mieszkańcami. Wciąż zawiedziony, obserwował dziewczynkę, młodszą od niego o kilka lat, poszukującą ze łzami w oczach jakiegoś zwierzaka, najprawdopodobniej kota, patrząc na pełną piórek wędkę, którą machała w każdą stronę bulwaru. Zmęczony tym widokiem obrócił się w kierunku rzeki, która powoli chowała się pod pierzyną wieczornej mgły i wtedy zamarł.

Żółte ślepie spotkały się z jego brązowymi oczami. Kanarkowe ślepiska prawie nie miały okalających ich rzeź, za to ropę dookoła gałek ocznych. Skóra stworzenia, które wspięło się po barierkach na taras bulwaru, była na pozór szara, ale w ostatnich smugach światła lśniła zgnięta zielenią. I to nie tylko ze względu na barwę. Ciało stwora pokryte było śluzem i wydalało rybny odor. Przypominało rybę nawet swym opływowym kształtem. Żabia, bezzębna gęba brzydactwa i dziwne łapska pokryte błonami przywiodły chłopakowi na myśl wysską na metr dwadzieścia ropuchę.

– O, cholera! – jęknął Hubert, zachłystując się powietrzem na widok utopca, który, jakby w odpowiedzi, uchylił usta.

Zadziwiające było jednak to, że z nich dwóch



– chłopca i mitologicznego stwora z koszarów, to Hubert okazał się bardziej przerażającym. Przynajmniej tak to zrozumiał sam nastolatek, gdy utopiec z przerażeniem wybałuszył oczy, czknął jakby z pijackiego przestachu i puścił metalową barierkę, spadając na dolny poziom bulwaru.

Chłopiec wychylił się nieco za żabim stworem, by przekonać się, czy nie stała się mu krzywda. Utopiec, fakt, był nieco pokiereszowany, kulał na prawą nogę i masował okolice, w których człowiek ma prawy pośladek, ale poza tym był cały i zdrowy. Sam jednak wciąż musiał czuć zagrożenie ze strony nastolatka, bo zadartł na niego niepewnie łeb i pospieszył do ucieczki w głąb bulwaru, gdzie wciąż spacerowali ostatni przechodnie.

Jednakże ludzie ani trochę nie wydawali się poruszeni widokiem szarżującego na nich potwora. Jedynie schodzili z drogi topielcowi, wydającemu z siebie dziwne, niemalże dziewczęce piski. Niektórzy nawet śmiali się z tej sceny do rozpuku, maszerując spokojnie między ceglanyimi balkonami i dywanami przesuszonymi nieco od słońca trawy, a także mijając kolejne utopce, zajęte swoimi sprawami.

Jakaś dwójka dzieciaków, góra siedmioletnich, pomagała innemu z takich stworów zbierać butelki i kapsle do reklamówki z pobliskiego spożywczaka. Chłopiec, ożywiony, mówił coś do wielkiej, obślizgłej żaby, a dziewczynka uśmiechała się uradowana obecnością monstrum. Inne dzieci zakładały jakiemuś topielcowi czerwone korale. Kolejny potwór siedział

na ławeczce koło matki z wózkiem, odrywając płatki zerwanej z wzniesienia stokrotki, jakby rozważał prawdopodobieństwa czyjś uczucia niczym postaci w filmach romantycznych. Jeszcze inne siłowały się z koszykiem pełnym pieczywa z okolicznej piekarni, jednocześnie napychając sobie szerokie buzie drożdżówkami i lukrowanymi pączkami.

Gdzieś w tle Hubert dostrzegł też Zdziśka, który powoli, w swoim tempie, gonił jednego z utopców, gwizdząc przy tym ogłuszająco. Topielec trzymał w dziwacznej łapie coś błyszczącego, jakby naszyjnik lub bransoletkę, co najwidoczniej zwróciło uwagę straszaka bulwarowego. Szli tak raz przyspieszając, raz zwalniając, ale ani Zdziśław, ani topielec nie byli najszybsi. Pogoń za potworem prezentowała się więc przekomicznie z perspektywy Huberta, który, śledząc pościg, nareszcie natrafił na najmniejszego z rzecznych stworów.

Mały topielec, ewidentnie młodszy od tych, których dotąd widział nastolatek, siedział przy samym brzegu rzeki z małym syjamskim kociakiem na kolanach. Pełna śluzu łapa głaskała kotka, który spał smacznie na kolanach potwora. Hubert przyglądał się temu nieufnie, ale nie mógł zaprzeczyć, że kot zdawał się być w dobrych rękach dość czułego topielca. Martwiło go jednak to, że za sobą wciąż słyszał nawoływania dziewczynki, szukającej swojej kociej pociechy. Nieco niepewnie, bo nie wiedział, czy nie był jedynym widzącym te pokraczne stwory, zawołał w jej stronę:

– Hej, mała! Chyba znalazłem twojego kocia-ka!

Dziewczynka przybiegła naprędce i także wychyliła się przez barierkę, odrzucając na bok zabawkową wędkę. Dotąd zażawionym oczom blondyneczki zaczął niespodziewanie towarzyszyć nie przerażony, a nerwowy grymas. Oburzona aż poczerwieniała, zakładając ręce na piersi.

– I znowu to samo! – huknęła rozszłoszczona w kierunku małego topielca, który obrócił się na nią jakby zawstydzony. – Mogłeś przynajmniej zapytać o pozwolenie! To mój kot! – krzychała swym piskliwym głosem, co żywo przstraszyło stwora, który wreszcie puścił kotka.

– Czyli to nie pierwszy raz, gdy te potwory zabrały ci kota? – zapytał Hubert, samemu nie dowierzając, jak abstrakcyjnie zabrzmiało to pytanie. – Często to robią?

– Notorycznie! – zdenerwowała się, obserwując wchodzącego do niej po schodkach kocia-ka, teraz całego ubrudzonego śluzem i pewnie śmierdzącego jak woda w pobliskiej rzece. – Utopce są wyjątkowo niegrzeczne. Uważaj, biorą wszystko bez pytania – poskarżyła się dzieciolatką, ani trochę nie kwestionując wręcz groteskowej obecności stworów na bulwarze.

– Faktycznie, niekulturalnie z ich strony –

wymamrotał oszołomiony, gdy dziewczynka złapała kotka i zaczęła się oddalać w kierunku bloku, w którym miał zamieszkać.

I choć dzień już chylił się ku końcowi, Hubert dał się namówić na powrót do mieszkania dopiero wiele godzin później, niemalże już w środku nocy. Siedział tam jeszcze długo, obserwując nieporadne potwory i niewzruszonych ich obecnością mieszkańców, jakby próbując zrozumieć fenomen Gorzowa Wielkopolskiego. Bo przecież nie każde miasto w Polsce może pochwalić się taką atrakcją turystyczną, jak mitologiczne topielce o wyglądzie niczym z horrorów, lecz o zachowaniach rodem z kreskówki.

Joanna Łebkowska – absolwentka jednego z gorzowskich liceów, studentka prawa w Poznaniu. Miłośniczka fantastyki od początku swojej przygody z czytelnictwem. Autorka tekstów prozatorskich z gatunku fantasy, dystopii, postapokalipsy i horroru. Fascynatka historii i kultury regionu, a także badaczka-amatorka mitologii słowiańskiej i lokalnych wierzeń.



Grabarz

Sebastian Baliński

Panował późny wieczór, chmury zniknęły pod smogiem, oblegającą całe niebo. Jedyne gwiazdy rozświetlały ten jakże ponury krajobraz. Chciałem je wszystkie ściągnąć niewidzialną wędką i zamienić na zielone papierki z martwymi prezydentami. Potrzebowałem ich jak niczego innego w tym momencie. Moja matka zmarła parę dni temu, znaleźli ją dopiero wczoraj bladą, zimną, z plamami opadłowymi, opinającymi każdy centymetr jej ciała. Pracowałem w zakładzie pogrzebowym jako grabarz, miałem nadzieję na pomoc finansową właściciela, abym mógł urządzić jej odpowiedni pogrzeb. Nie zgodził się na to argumentując, że mam własną kwaterę mieszkalną w budynku zakładu, że i tak dał mi już wiele. Czulem się przyparty do muru, nie zarabiałem wiele, same strzępy, które ledwo starczały na jedzenie, matka podobnie jak ja nie miała żadnych oszczędności. W dodatku zaciągnąłem pożyczkę od Pana Alberta, czyli właściciela przybytku, chciałem jakiegokolwiek rozrywki, kupiłem za te pieniądze cały karton książek. Nie wybierałem ich – były losowe, tańsze, ale za to w większej liczbie. W podrzędnej literaturze też można znaleźć coś wartościowego. Siedziałem zgarbiony przy recepcji pochłaniając *Portret owalny* Poe'go; był on skondensowany w podręcznym magazynie grozy. Lekturę przerwał dzwonek, który brzę-

czał zawsze, kiedy ktoś wchodził. Pojawił się przede mną mężczyzna na oko pięćdziesięcioletni, był elegancko ubrany. Płaszcz na guziki sięgający aż do kolan, a pod nim czarna koszula bez krzty zgnieceń. Nad jego ustami widniał zawinięty charakterystyczny wąs, reszta twarzy była starannie ogolona, jakby specjalnie się przygotował na przyście do tego miejsca. Włosy skrył pod węglistą fedorą, a dłonie w skórzanych rękawiczkach szytych na miarę. Był bogaty. Bogaty i zadbany.

– Dobry wieczór – rozpoczął, uśmiechając się. – Intryguje mnie, ile kosztuje tutaj pogrzeb, ostatnio zmarł mi ktoś bliski.

– Dobry, dobry. Jeśli chodzi o to, to zależy. Od trumny, od nagrobka. Od wielu rzeczy, proszę pana, od razu uprzedzam. To nie są tanie rzeczy – odpowiedziałem.

– Oczywiście, rozumiem że to nie są tanie rzeczy – wyciągnął plik banknotów, które obcisłała gumka. – Rzec w tym, że chciałbym przeprowadzić go jutro w nocy. Bez niczyjej obecności, jedynie ja, i pan.

– W nocy? Można zrobić, ale będzie kosztowało więcej – wyjaśniłem. – Poza tym, pan się pomylił. Nie będziemy tylko my, jeszcze zmarły – dodałem, uśmiechając się łagodnie.

– Jak już powiedziałem, pieniądze to nie problem, i nie. Nie pomyliłem się. Ja i ty.

Oddech zatrzymał się w moich płucach,



a uśmiech momentalnie znikł. Natomiast jego wciąż mu towarzyszył, niezmienny. Wsunął zielone papierki na ładę, obracał je namiętnie, spoglądając w moje niebieskie oczy. Widywałem ekscentryków, którzy stronili od pochodu księdza z wiernymi, nawet takich, co jedynie chcieli zakopać trumnę z bliską osobą po kryjomu, ponieważ nie było ich stać na cokolwiek lepszego. Na to drugie nigdy się nie zgodziłem, zbyt mała suma wchodziła w grę, aby aż tak ryzykować. Gdyby dziś ktoś przyszedł znów z taką propozycją, zgodziłbym się bez wahania tylko po to, by pogrzebać matkę, ale to? Nic nie rozumiałem z tego, co mi proponował.

– Przepraszam, ale niezbyt rozumiem. Co pan ma na myśli? – zapytałem, utrzymując spokojny ton.

– Pogrzeb. Chcę przeprowadzić własny pogrzeb, proszę pana. Cena nie gra roli – ciągnął swoją enigmatyczną propozycję.

– Chwila, a co z pańską bliską osobą? Nie chce jej pan pogrzebać?

– Chcę, stąd moja propozycja. Dziesięć tysięcy. Tak lub nie – rzekł, wertując papierki. Przewróciłem wzrok na ścianę. Patrzyłem w nią przez dobrą chwilę, rozmyślając czy się zgodzić. Odczuwałem narastającą presję powodowaną jego stukaniem palcami w drewnianą ładę. Dziesięć tysięcy... Mógłbym pochować godnie matkę, kupić kwiaty, wyjątkowe znicze z ozdobnymi krucyfikami. Była religijna. Reszta starczyłaby mi na spłatenie pana Alberta, a nawet na lepsze książki niż te, które posiadam, może dodatkowo na jakieś

małe zachcianki.

– Musiałbym się zastanowić, może pan przyjąć jutro rano?

– Tak lub nie. Wie pan, z każdą sekundą zwłoki, prezydenci coraz bardziej chcą stąd wyjść – odrzekł stanowczo.

– Hmm... – chwycił plik, zbliżając je powoli do swojej kieszeni. – Tak! Tak, zgadzam się. Tylko niech mi pan powie o której, jaką trumnę by pan sobie życzył! – wyrzuciłem z siebie niemal błagając, żeby tylko się nie zraził i nie wyszedł.

– Jutrzejsza noc, dwudziesta czwarta. Równie dwudziesta czwarta znajdziemy się na cmentarzu, przywiozę trumnę o dwudziestej trzeciej, zaciągnę ją na miejsce. Mam specjalny wózek, niech się pan nie martwi. Niech pan wyjdzie szukać mnie na polu marmurowych nagrobków trzydzieści minut po moim przyjeździe. Nie może się pan spóźnić! Wspólnie wykopie my zagłębienie na mój nowy mahoniowy domek – zakończył, wychodząc pośpiesznie. Zanotowałem wszystko w małym kalendarzyku wiszącym za mną. Siedziałem jeszcze pół godziny w recepcji, wystukując kostkami palców rytm, aby odgonić wątpliwości. Powtarzałem w głębi siebie, że to naprawdę nic złego. Przecież nie robię tego jedynie dla własnego dobra. Po czym, by je uśpić, zamknąłem drzwi na zamek i łańcuch, żeby spokojnie położyć się spać. Nie mogłem zasnąć przez połowę nocy, wierciłem się na lewo, na prawo. Gdy już lądowałem w objęciach Morfeusza, wybudzał mnie ze snu niepokój, powodowany tym, że właściciel mógłby się o tym wszystkim dowiedzieć i wytoczyć sprawę w sądzie, która by mnie już kompletnie pogryzła.

Cały następny dzień spędziłem na przygotowywaniu pogrzebu ubogiej rodziny, która zginęła w wypadku samochodowym. Ojciec, matka, nastoletni syn i zaledwie kilkulatnia córka. Zapłaciła za to ich daleka rodzina, która podobno nawet nigdy ich nie widziała. Dlaczego ja nie mam takiej rodziny? Chociaż czy chciałbym? Zamówili trzy miejsca i trzy wątpliwej jakości trumny, a było czterech zmarłych. Dziewczynka pójdzie położyć się z bratem. Mogli po prostu zamówić grupową mogiłę, wyszłoby jeszcze taniej. Wykopałem groby, odebrałem już zamknięte trumny, przewoziłem je do drugiego budynku, gdzie są one przechowywane aż do ceremonii. Ta oto rodzinka zostanie pochowana jutro o trzynastej.

O dziewiętnastej już wszystko było skończone. Wróciłem do zakładu, umyłem się, po czym zasiadłem, podobnie jak wczoraj, w recepcji. Nikt nie przychodził, dlatego wyciągnąłem *Slimaki* Hutsona i zacząłem czytać. Gdy nadeszła dwudziesta druga, wyszedłem

otworzyć bramę, żeby klient mógł wjechać. Ku mojemu zdziwieniu była ona już otwarta. Musiałem już wcześniej to zrobić. Wróciłem do środka, przeniosłem krzesło przed sporą szybę, przez którą miałem dokładny widok na plac, po czym usiadłem z prymitywną lekturą w dłoni.

Pojawił się o wyznaczonej godzinie, spojrzałem na zegar, akurat wskazówka wskoczyła na jedenastą. Nie spóźnił się ani trochę, ani nie był za wcześnie. Przyjechał karawanem, skąd on w ogóle go miał? Zresztą, to nie było tak naprawdę ważne. Wyciągnął wózek, na którym ustawiona była zdobiona, elegancka trumna. Udało mu się to przetransportować na ziemię bez zbędnych potknięć. Oświetlały go światła samochodu Pomachał dłonią w moją stronę, uśmiechając się tak samo jak poprzednim razem. Odprowadziłem go wzrokiem do momentu, gdy wszedł między nagrobki.

Nastąpiła dwudziesta trzecia trzydziści, zerwałem się z krzesła, zostawiając ostatnie dziesięć stron książki. Poszedłem do schowka po dwie łopaty i ruszyłem przed marmurowe pole. Wokół rozciągała się cisza, martwa cisza. Miejscami przerywały ją kruki, które osiadały na ławkach i krakały na mój widok. Szukałem sylwetki mężczyzny, aż w końcu go znalazłem na samym skraju. We wszechobecnej ciemności wyróżniał się jego płonący papieros. Podszedłem do niego, przeczesując dokładnie wzrokiem okolicę. W ziemię wbity był drewniany krzyż.

– Jesteś. Miałeś być o dwudziestej czwartej. Wtedy mieliśmy to wszystko zacząć. Pięć minut za wcześnie, ale to nic nie szkodzi. Chyba nic nie szkodzi – rozpoczął, wyrzucając niedopałek, po czym wbił go eleganckim butem w ziemię.

– Przepraszam. Myślałem, że to bez znaczenia. Możemy po prostu zacząć? Wziąłem dwie łopaty, gdyby pan chciał się przyłączyć.

– Oczywiście, że panu pomogę. Kim bym był, gdybym tylko się przyglądał. Mam ze sobą torbę z przedmiotami do odprawienia ceremonii. Pokażę ci wszystko, gdy skończymy – odpowiedział entuzjastycznie i chwycił łopatę.

– Mam tylko jedno pytanie – powiedziałem niepewnie. – Na pewno nikt nas tu nie nakryje?

– Na pewno, zadbałem o to – zapewnił mnie.

Kopaliśmy przez około dwie godziny. Na początku przeszywał mnie ciągłe dreszcz, spowodowany jego ostatnimi słowami. Zazwyczaj, gdy wykopuję grób, trwa to trochę dłużej, ale on robił to, jakby już kiedyś miał z tym do czynienia. Po godzinie pracy już się zmęczyłem. Chciałem odpocząć, ale czułem, że nie mogę; pomyślałem, że im szybciej to skończymy, tym będę spokojniejszy. Klient przerzucał ziemię,

nie okazując ani jednej oznaki wyczerpania. Próbowałem mu dorównać. Moja łopata przy samym końcu zaczęła się przechylać w każdą stronę świata.

Gdy skończyliśmy, staliśmy obaj w półtora-metrowym zagłębieniu w ziemi. Oparłem się o jedną ze ścian, oddychając głęboko ustami.

– Jeszcze chwila, kolego! – powiedział wspierająco. – Wyjdziemy, włożymy trumnę, położę się wygodnie, zasypiesz mnie ziemią. Nie sprawi ci to raczej trudności.

– Raczej nie. Jest pan pewien swojej decyzji? – zapytałem, aby się upewnić.

– Nigdy nie byłem czegoś bardziej pewny! Wyjdźmy stąd, wręczę ci pieniądze. Okrągłe dziesięć tysięcy

Odłożyliśmy łopaty na zewnątrz. Podłożyłem mu dłonie, postawił na nich nogę i wyszedł z grobu. Zniknął na moment, myślałem, że chce mnie tu zostawić. Potrafię wychodzić z takich miejsc, ale pomoc mogłaby się przydać. Wrócił po chwili i podał mi rękę, wyjaśniając, że odłożył narzędzia trochę dalej. Chwyciliśmy wspólnie trumnę i wsadziliśmy do wgłębienia.

– Trzymaj – wręczył mi starodawną księgę i położył obok moich nóg jednorazówkę z pieniędzmi. – To twoja zapłata. Gdy zasypiesz moje nowe mieszkanko ziemią, otwórz książkę na tej stronie – wskazał na jej środek. – Wy-powiedz wtedy słowa: Anta'la, Reqiscat ma'la en tan!

– Dobrze, proszę pana. Co to znaczy?

– Wieczny pokój racz mu dać panie – wyjaśnił. – Już pora, musimy to skończyć nim nastanie ranek – otworzył trumnę, po czym ułożył się w niej. – Zamykaj! Wrzuć tu jeszcze torbę

Podąłem mu niemal pustą torbę sportową, podziękował skinieniem głowy i zacisnął powieki, kładąc ręce na piersi. Wahałem się chwilę, ale finalnie ruszyłem jej wieko. Momentalnie się zamknęła z głośnym trzaskiem. Odszukałem wzrokiem łopatę i resztkami sił przykryłem ziemią trumnę, gładząc ją niedokładnie. Chwyciłem księgę.

– Anta'la, Reqiscat ma'la en tan! – krzyknąłem, spoglądając na krzyż. Wyciągnąłem go, żeby nikt przypadkiem nie chciał przeszukiwać tej części cmentarza za szybko. W jedną dłoń wziąłem łopaty, w drugą ową książkę i pieniądze.

Na placu nie było już karawanu, jego wspólnicy musieli zabrać. Nie miałem siły na najmniejsze logiczne myśli o tym. Wróciłem do zakładu cały w ziemi oraz kompletnie wyczerpany. Położyłem się w łóżku i wtuliłem w kołdrę.

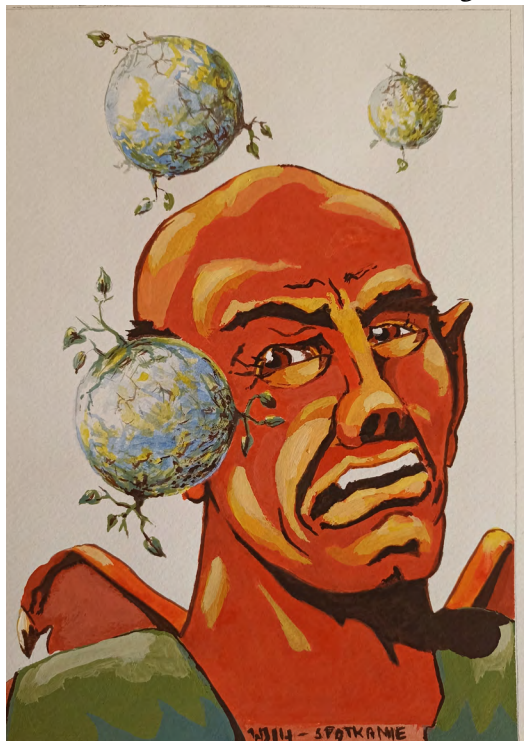
Całą noc dręczyły mnie okropne koszmary, w których mój klient wychodzi z grobu cały ubrudzony i chce mnie zabić. Przyciska

spękane dłonie do mojej szyi, próbując mnie udusić, a z jego nozdrzy wypływa żółć, pomieszana z larwami i ziemią, wsiąkająca pod moje powieki. Obudziłem się po zaledwie trzech godzinach snu z krzykiem oraz potem, oblewającym całe moje ciało. Zegar na ścianie wskazywał ósmą. Wstałem z trudnością z łóżka, czułem, że mnie prawie pochłonęło tej nocy. Poszedłem w stronę łazienki, wkroczyłem pod prysznic, musiałem się zadowolić zimną wodą. Nie było ciepłej

Podczas ceremonii pomagałem w niesieniu jednej z trzech trumien. Czułem się niezwykle niekomfortowo wśród tych wszystkich ludzi. Patrzyli na mnie, jakby wiedzieli, co zrobiłem ostatniej nocy albo zwyczajnie odprowadzali zmarłych. Włożyliśmy je do trzech wykopanych wcześniej grobów, ksiądz poświęcił całą trójkę wodą święconą. Następnie wszyscy zgromadzeni zaczęli wrzucać do nich kwiaty i inne ceremonialne rzeczy. Spoglądałem na najtańsze drewniane domki, pomyślałem o mamie. Łza spłynęła mi po policzku, po czym wsiąkała w ziemię. Podniosłem wzrok na horyzont. Stał. On tam stał. Tak samo wyglądający jak wtedy, gdy pierwszy raz się spotkaliśmy. Nieskazitelnym. Kąciki ust wznosiły mu się powoli w nienaturalny uśmiech. Zmarłem w bezruchu, wybałuszając na niego oczy, natomiast serce łomotało mi w piersi jak młot; nie mogłem go powstrzymać. Obraz przede mną zaczął się rozmazywać, widziałem zbliżającą się w moją stronę trumnę. Poczuliśmy, jak ktoś chwytą mnie za ramiona, wtedy zniknęła mi z pola widzenia, tak samo jak on. Patrzyłem się pusto w błękitne niebo, widziałem zniekształcone sylwetki, które stały nade mną...

Gdy odzyskałem świadomość, poinformowano mnie, że zemdlałem. Nawet zażartowali – myśleli, że będzie potrzebna jeszcze jedna trumna. Nie było mi w ogóle do śmiechu. Mówili coś jeszcze, ale przestałem słuchać. Widziałem tylko i wyłącznie jego obraz. Jak się uśmiecha, jak leży w trumnie z zamkniętymi oczami, jak mnie dusi. Podałem dłoń każdemu, kto czuł przy mnie i mówił przez tę krótką chwilę.

Myślałem o tym, co zrobiłem, siedząc w recepcji i czytając książki. W każdym możliwym momencie. Przyszło parę osób złożyć zamówienia na miejsca pogrzebowe. Gdy tylko zaczęli otwierać usta i wydobywały się z nich słowa: Czy mógłby pan... kończyłem, stanowczo wypowiadałem jedno słowo: *Nie!* Jak zwykle po dwudziestej drugiej poszedłem do łóżka, utopić problemy w objęciach Morfeusza. Wiłem się po całej jego ciągłości, czując jak mój materac staje się twardy i nienaturalnie chłodny. Nie miałem koszmarów, żadnych, ani jednego, aż otworzyłem oczy. Nie dowie-



rzałem w to, co się dzieje, nade mną było wieko. Wieko trumny, mahoniowej trumny. Słyszałem, jak uderzają o nią krople. Grzebali mnie żywcem. Chciałem krzyczeć, rzucić się w jej środek, ale nie mogłem, byłem unieruchomiony. Nie czułem żadnej części ciała, tylko myśli, spadające w moim umyśle jak krople wody święconej. Zaczęłem płakać, jedyne co mogłem zrobić oprócz myślenia.

– Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz! Niech mu ziemia lekką będzie – ktoś powiedział nagle, rozpoznałem ten głos. To był on, klient, ten sam, którego pochowałem.

Ziemia objęła się o drewno, wpadała do środka. Serce wyrывało mi się z piersi, trumna nasiąkała moimi łzami, ale ja... Ja nie mogłem nic zrobić. Po dwóch minutach wszystkie odgłosy ucichły. Potem ucichły moje myśli...

Sebastian Baliński – Ma 17 lat i uczy się w Liceum Ogólnokształcącym im. Zbigniewa Herberta w Słubicach. Od roku sporadycznie pisze wiersze oraz opowiadania, a jego największą inspiracją od kilku miesięcy jest muzyka hip-hop. Oprócz tego interesuje się filozofią. W wolnych i zniewolonych chwilach marnuje swój czas, aby jak najszybciej zaspo-koić ośrodek nagrody.

XIV Futuro Kongres w Nowym Landsbergu

Dariusz Jacek Bednarczyk

Każdego roku na 5 lipca musowo zlatywaliśmy do Nowego Landsbergu na Primo Centauri 04/10, znaczy się na Futuro Kongres. Wprawdzie już od dawna zatracił on swój biegły w piśmie charakter, przekształcając się w zaledwie plenerową biesiadę słowiańskiej braci kosmicznej i jeden tylko Światowid, a może jeszcze i legendarny piastun Pirx wiedział, skąd taka zacna nazwa, lecz dokładnie od czternastu ziemskich lat, choćby nie wiem co, obojętnie jakie zlecenie, jaki ładunek, wszystkie lądowniki akuratnie obierały kurs na ten kierunek. Załogi zlatywały praktycznie z całej galaktyki, a bywało, że i z dalszych stron, niejednokrotnie zarywając lukratywne kontrakty. Na taką okazję niejeden przerywał nawet hibernację. Sam nie wiem, co nas tak gnało. Sentyment do rodzinnych stron naszych antenatów, znaczy się lubuskiego Gorzowa Wielkopolskiego i okolic, hen, na starej matce Ziemi, uśmiech hożych kelnerów, chęć bycia razem, danse i tradycyjne przyspiewki do białego rana w międzynarodowym gronie obywateli, a więc niebywała, biesiadna atmosfera, boć przecie nie raczej dość cierpkawy smak Solaris, czyli tego miejscowego trunku, bo tradycyjne zatłoczenie i nieodzowne korki też chyba raczej nie. O lądowisku na Zakolu nie wspomnę, sterowiec bok w bok, burta w burcie, że ino lakier się ściera. Toż samo na Chróściku, ino Baczyna jako tako, ale tam wyłącznie jak ci kumotry miejsce załatwią, bo tamoj to jeno dla VIPÓW, ewentualnie jak sypniesz bajurę, ale toż znowu domena VIPÓW, więc koło się zamyka. A co się wyrabiało na Zakanalu? Kanał War-Odr zawalony aż po horyzont. Bywalcy przezornie zawijają już dwa tygodnie wcześniej. Wszak po drodze nie brakowało konkurencyjnych imprez, choćby i Kopernik-Giga, gdzie każdy lądownik dokował za friko, a pawężnicy przymykali oko na tradycyjne ustawki, tudzież swawolne pohulanki, jak to u braci kosmicznej bywało. Wiadomo – stres należało rozładować. Wytrzymaj tak cały rok świetlny w sterownicy, na dodatek z ręką na trzonku i rusznicą na podorędziu, boć wiadomo, że wschodnie arterie snadnie niebezpieczne. Grasują tam łotrzyki i rabusie wedle upodobania rozmaite, ino czyhajac na ładunki. Hajduków w potrzebie oczywiście

nie uświadczysz, więc licz jeno na siebie, no, chyba, że cię na radarach przydybią, wtedy nie ma zmiłuj, wtedy to dwoją się i troją, że choćby z kilku układów słonecznych naraz. Taki to już ten nasz kosmos...

Albo ta, Androgynia. Robi wrażenie. Kasy-na, czteroręczne tancerki z Exploited. A już Cosmic Macao! Drugiego takiego z halogenem szukać po całej galaktyce, wiadomo, że to miejscowe dogadali się z neomarsjańską mafią, ale jest porządek i zawsze znajdziesz miejsce, choćbyś lądował w noc Kupały za pięć dwunasta. No i za free.

Sam Nowy Landsberg zaiste gród znamienity, wiadomix, znany w całym wschodnim kosmo New Landsberg! Otoczony zwartym pierścieniem borów, gdzie króluje introdukowany z Ziemi kasztan jadalny, imponujące centrum rozrywek położone na przeszklonych bulwarach e-Kłodawki. Dalej tedy w dółtown cuda podziwiać. A dlaczego tam? Jest wszystko. Rollecoastery wyrwą z ciebie ostatnią kroplę energetyka, przejście przez rękaw grawitacyjny, bara-bara w nieważkości, knajpy, puby, Indoor-Skydiving, balneo/aqua/salsa, go-go i figo-fago, wszystko, czego winszuje spragniona słowiańska brać międzygalaktyczna. O, wa!

Natychmiast więc po uroczystym otwarciu kongresu przez Księcia Lubusza Forte Duo ruszyliśmy tedy całą załogą i my, zanurzyć się zech w kłębiącym tłumie spragnionych dobrej zabawy, a i buzującego trunku. Przecie! Piękne cyborgice ino śmigwały ze dzbankami, strzelając spojrzeniami na lewo i prawo, eeeh, kurde, normalnie eden!

Traf chciał, że spotkalim ziomka, niejakiiego Kapau... Klapau... ach, nie pomnę teraz, a że odmówić na zrękowiny nie wypada, więc dalej przy miodzie, a przednim jadle, karaoke, a chwalebne czyny po całym kosmo wspominać. Po trzech dobach biesiady trz nam było dalej, właśnie się żegnaliśmy, kiedy w szesnaście poduszkwoców zajechały pod lokal Falubazy. Od razu sobie pomyślałem: ustawka! Zaczęło się, gdy jeden z nich, całkiem smyk spod playstasiun XII, wyjął sektor i obciął szelki krupierowi. Tamten, chłop niczego w sobie, trzymaną na podorędziu kłonicą fluoroscencyjną zrobił gostkowi nowy makijaż, po czym ruszył na resztę niczym krą-



Sebastian Trzaska

żownik intergalaktyczny. Rozgorzała bitwa. Ktoś wezwał janczarów. Ktoś odpalił elektrodę. Podobno w ruch poszły nawet hakownice. Lasery tak dawały, że zawezwano pobliski garnizon, aleśmy ich pogonili aż za Santok! To ci dopiero! Na wieść o ustawce z pomocą wyrwały ku nam wszystkie załogi. Ruszyliśmy zatem bulwarami z pieśnią na ustach, wzmacnianą nanotechniką. Nikt nie dostał nam pola. A jak! Dali my speedu niczym huragan na Wenus. To była way! Nasza way! Po kolei złupiliśmy Karnin, odległe Wieprzycze, rozległy Górczyn, a dalej co, ten, no, do nas należało całe to kultowe Miasto na Siedmiu Wzgórzach, o których pieśni krążą, a co! Porządzili my se ostro!

Dopiero w drodze powrotnej, tuż przy zabytkowej estakadzie, którą se miejscowi sprowadzili aż z Ziemi ze starego Gorzowa Wielkopolskiego, drogę zastąpili nam janczarzy. Dwa regimenty. Nie powiem, gula od razu stanęła w gardle. Wszyscy w bionicznych żupanach i kevlarowych baczmagach, do tego termiczne misiurki. Cisza, jakby nagłe wyłączyli klimę na całej planecie! Zrazu obie armie stanęły w oczekiwaniu na pierwszy ruch przeciwnika naprzeciw siebie, jeno arkebuzy tliły. Pamiętam, że nasza linia lekko się zachwiała, podobnież ariergarda chciała dać tyły. Wtenczas na awangardzie podniesiono wszystkie proporce, był Lech, Piast, czujna Łomża, a najważniejszy Juhas.

Był to sygnał do ataku. Główny wysiłek natarcia poszedł na prawe skrzydło. W odpowiedzi janczarzy dali ognia z arkebuzów, aż się zrobiło sino od gazu, po czym wyprowadzili kontratak. Na takie dictum byli my przygotowani, przecie w próżni bez maski daleko nie pociągniesz, najwyżej kilka parseków. Dokonałim tedy obejścia rubieży gazowej i wbili klinem, odległość przestała istnieć, gogle w gogle, aż nadziaki traciły zasilanie, uch!!!

Zmasowany atak przyniósł w końcu efekty. Janczarzy utracili łączność, a z nią zdolność dowodzenia, zatem wkrótce w ich szeregi wkraść się chaos. Wszyscy myśleli, no, to po zawodach, zdobycie taborów oraz bój pościgowy, byle szybko, zanim dostaniemy kaca. Nie udało się jednak złamać ich oporu, ponieważ dostali posiłki. Uff, to był prawdziwy powrót z gwiazd, kordon całkiem nie do przejścia, zaś na dodatek pojawili się cyfrowcy, no chyba spadli z trzeciego księżycza? Mimo to nie ustąpiłim pola, dość wspomnieć, że poczynali mi sobie na tyle dzielnie, iż cyfrowcy zmuszeni zostali do taktyki mysich dziur, a w końcu nie mieli innego wyjścia, jak tylko wypuścić na nas Obłok Magellana! Na takie dictum nasze maski okazały się być całkiem bezużyteczne. Cóż, osobiście w pewnym momencie w tej całej zadymie dostałem taką tęgą pałą po czerepie, ażem normalnie od razu posłyszał Głos Pana... Hmmm, „Nec Hercules contra plures”...

Siedzimy teraz zbunkrowani na podstacji, dokującej przy samym stadionie Stali. Pilnują nas srodzy cyfrowcy, ściągnięci ponoć pośpiesznie z tajnej bazy na Księżycu Saturatora. Na odbicie próżno liczyć, ponieważ skonfiskowali nam dziupiesy. Chodzą słuchy, że nasi bronią się jeszcze na tym legendarnym placu Kasety Stilon Gorzów, lecz to nic pewnego. Ciekawe czy obejmie nas zapowiadana przez księcia na okazję turnieju z Falubazem amnestia?

Dariusz Jacek Bednarczyk – ur. w Jeleniej Górze. Absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Wrocławskiego. Współautor m.in. Wieluńskiego *Słownika Biograficznego*, t.3, pod redakcją Z. Szczerbika i Z. Włodarczyka, Wieluń 2016, antologii sf *Krawędzie otchłani*, Żary 2021, antologii *Węgrzy oczami Polaków*, Warszawa 2021, antologii sf *Dzień po najczarniejszej nocy*, Łódź 2023, e-antologii opowiadań grozy, *Podszepty*, Wrocław 2024 oraz antologii fantasy *Droga przez otchłani* Żary 2025.

Ponadto inne publikacje, m.in.: „Odra”, „Czas Literatury”, „Śląsk”, „Fabularie”, „Czas Kultury”, w tym sf: „Fenix Antologia”, kwartalnik „Hynh+”, „Informator GKF”, „Szortal”, „Magazyn Histeria”, kwartalnik „Abyssos”.

Problem

Michał Narożniak

Istnieją różne problemy. Jedne są trywialne jak rozwiązana sznurówka, inne wielkie jak długi pewnych klubów sportowych, a jeszcze inne ciągnące się jak remont Schodów Donikąd.

Jest też jeden specjalny rodzaj problemów, które można nazwać kaskadowymi – od nich zaczynają się następne i następne problemy.

Człowiek takim właśnie był spacer Dominanty na Stary Rynek po tym, jak znudziło się jej siedzenie na szklanym postumencie. Ofiarami tej przechadzki było trzydzieści osiem samochodów, estakada kolejowa, gdzie Chrobrego przechodzi w most Staromiejski, miejska infrastruktura drogowo-tramwajowa, elewacje okolicznych budynków i dobre samopoczucie świadków z nadwrażliwością estetyczną. Olbrzymi metalowy Pająk dotarł do celu i przechadzał się leniwie od jednego końca placu na drugi, objając się to o kamienice, to o katedrę, i tak w kółko. Problemów z tego było co niemiara – dla przechodniów, kierowców, mieszkańców okolicznych kamienic, sprzedawców i klientów. Na pewno nie był to problem dla ubezpieczycieli, bo żadna polisa nie obejmowała zniszczeń, poczynionych przez ożywione obiekty architektoniczne. Problemu nie mieli też przedsiębiorcy budowlani, którzy już zacierali ręce na nowe zlecenia, gdy tylko Dominanta wróci na swoje miejsce lub pójdzie sobie w cholerę.

Co trochę dziwne, cała sytuacja nie była też problemem dla wóldarzy miasta. Pierwsze reakcje były co najmniej nerwowe, jednak, gdy oczy mediów krajowych zwróciły swoją uwagę na Gorzów Wielkopolski, urzędnicy, by nie stracić twarzy, wzięli się w garść, wszak nie takie już „pożary” zdarzało im się gasić. Z urzędu wyszła elegancko ubrana pani i z uśmiechem, mając w tle gigantycznego ażurowego Pajaka, wesoło depreczającego centrum miasta, powiedziała, że wszystko jest w porządku, bo to taki happening. Dodała, że akcja z Dominantą jest na miarę naszych możliwości oraz że tą Dominantą otwieramy oczy niedowiarkom, a także że „to nie jest nasze ostatnie słowo”.

Wypowiedzi i działania urzędu były o tyle dezorientujące, że już na przedmieściach zjawiało się wojsko, aby szybko i skutecznie pozbyć się problemu. Oficer dowodzący operacją zażądał natychmiastowej ewakuacji Śródmieścia. Urzędnicy słysząc słowo na „e” doznali zbiorowej wizji zmian słupków poparcia i zaczęli zapewniać jeden przez drugiego, że nic się nie dzieje, a wszystko jest pod kontrolą.

Zainteresowanie wydarzeniami z Gorzowa Wielkopolskiego musiało natomiast być problemem dla współobywateli z dużych miast w innych regionach, którzy zaczęli dopytywać wóldarzy, czemu i oni nie mają łączącej architektury i pomników. Szybko pojawiły się oświadczenia prezydentów

miast wojewódzkich, że jeszcze dzisiaj dużo dostojniejsze obiekty niż gorzowska Dominanta ożyją. Jak na złość żadna budowla nie kwapiła się do ruszenia się z miejsca, za to sieć załazy generowane EJAjem filmiki z m.in. wrocławskimi krasnalami, rabującymi bank, czy warszawską syrenką, demolującą Centrum Nauki Kopernik.

Mieszkańcy, nie mogąc doprosić się załatwienia problemu, wzięli sprawy w swoje ręce. Przedsiębiorcy budowlani zniecierpliwieni sytuacją skrzyknęli się, by bestię powalić. Niektórzy mówią, że to nie zniecierpliwienie a obawa, że roboty będzie za dużo i ktoś spoza miasta jeszcze się dorwie do zleceń na naprawy. Jednak przed przystąpieniem do pracy zażądali umów i kontraktów od urzędu miasta, bo przecież nie będą robić za szeroki uśmiech i uścisk dłoni pana prezydenta. Każdy przy tym uważał, że to jego dźwig/spychacz/buldożer (wstaw dowolne) jest niezbędny, więc żądał przy podziale zysku większego procentu dla siebie. Wymiana argumentów szybko zesłała do kwestii, kto ma jakie znajomości. A że okazało się, iż wszyscy mieli takie same, to ta „inicjatywa” utknęła na etapie ofertowania.

Następnymi śmiałkami byli lokalni rekonstruktorzy, mający w arsenale rycerza (i to certyfikowanego!) oraz drużynę lekkozbrojnych (niecertyfikowanych), więc wydawali się najbardziej kompetentni do walki z potworami. Uzbrojeni przez lokalny sklep żelazny w narzędzia budowlanej destrukcji ruszyli do boju. Ażurowy potwór specjalnie się nimi nie przejął – miał co prawda teraz pokiereszowane nogi, ale snuł się po centrum jak wcześniej. Natomiast zbrojni tak się zgrzali od machania orężem i unikania nóg Pajaka, że sanitariusze ich z pola bitwy ledwie żywych znosili musieli.

Swych sił próbowali też motocykliści, wszak był szczyt sezonu. Pomysł mieli nietuzinkowy – nogi Dominanty spętać linami stalowymi, powalić ją, a potem pociąć na kawałki palnikami i piłami – z rykiem silników, akrobacjami, kładzeniem motorów i robieniem istic żużlowych kółek. Niestety, Pająk okazał się silniejszy niż przypuszczali i spora część jeźdźców widowiskowo wyleciała w powietrze. Na pocieszenie można dodać, że śmiałkowie docenieni przez środowisko kaskaderskie dostali całkiem intratne oferty pracy.

Śmiałków było jeszcze całkiem sporo. Z dnia na dzień sektor turystyczny raptownie ożył, bo widzów, przybyłych, by podziwiać ruchliwą Dominantę i starcia z nią, było całe mrowie. Niektórzy mieszkańcy uznali nawet, że zrujnowanie ścisłego centrum miasta i sparaliżowanie komunikacji miejskiej to niewielka cena za szeroki strumień pieniędzy, pozostawiony przez spragnionych wrażeń turystów. I tu miejscy wóldarze zaczęli też przyznawać, że jest problem, a mianowicie braku w infrastrukturze

turze turystycznej, więc na szybkiego próbowano podpytać skłóconych budowlańców, czy nie mogliby na szybko postawić jakiegoś hotelu lub przynajmniej ośrodka wypoczynkowego.

Inną kwestią było, że z jakiegoś powodu założono, że skoro Dominanta obijała się po Starym Rynku, to pozostanie tam na stałe jako postrach okolicznych elewacji i miejskiej infrastruktury. Jednak pewnego dnia idealnie trafiła swym ażurowym cielskiem w ulicę Sikorskiego. Obijając się, zygzakiem opuściła Śródmieście (ku uldze konserwatora zabytków) na podbój innych dzielnic (ku nie-uldze wielu innych osób).

Wtedy to zjawił się też kolejny śmiałek – starszawy emeryt o krzaczastych brwiach i brodzie, co mówił, że jest czarodziejem i on wie, co trzeba zrobić. Nazłorzeczył jednak najpierw na uciekającego Pajaka, po czym wsiadł na rower i pojechał wzdłuż ulicy Chrobrego w kierunku osiedla Piaski, zjeżdżając w niektóre uliczki, wykrzykując przy tym jakieś tajemne słowa i formułki.

Minęło parę godzin. Dominanta grasowała w tym czasie na Widoku i teraz czaiła się w Parku Kopernika. Nagle cienie przysłoniły słońce i na Dominantę spadły z nieba szare smoki o łuskach z kamienia, co je mieszkańcy znali ze starych kamienic. Szarpiąc szponami, rwąc zębami i ziejąc ogniem dostojne byty architektoniczne z bogatą historią pogoniły postmodernistyczną kreaturę z powrotem na jej cokół. Tam jaszczury ogniem swoim przyspawaly Dominantę do konstrukcji i odleciały z powrotem ku swoim siedliskom, kończąc całą tą farsę.

Czy to był koniec tej historii? Nie do końca. Dominanta, choć siedzi na swym postumencie, czasem, gdy ma zły humor wierci się, dokuczając przechodniom okropnym skrzypieniem metalowych nóg. Uradowani budowlańcy zawarli intratne kontrakty na prace renowacyjne i w gorszych już nastrojach

przystąpili do rozmów z konserwatorem zabytków odnośnie do „poprawnego obchodzenia się z historyczną tkanką miasta”. Włodarze głośno narzekają na zniszczenia, acz niezbyt szczerze, wszak miasto się rozślawiło, a i kasa miejska napelniła się pieniędźmi za pozwolenia na badanie fenomenu Miss Makabryły 2007. Ożywione smoki natomiast wzięły sobie we władanie kamienice, na których dotąd siedziały i od lokatorów zaczęły pobierać czynsze, i to w monecie! Kazały sobie bilon ten składować, by miały na czym spać. W zamian doglądały budynków i porządku. Choć brały więcej niż spółdzielnie, to wszyscy się zgadzali, że były od nich dużo bardziej gospodarne i skuteczne. A co z czarodziejem? Ano znikł, bo ktoś szybko doszedł do wniosku, że skoro ożywił on smoki, to mógł też wskrzesić ażurowego Pajaka, więc należało wziąć go na spytki. Co prawda kwestią otwartą pozostało, czemu miałby to robić. Niektórzy uznali, że mógł zrobić to złośliwie, a inni doszukiwali się podobieństw w wyglądzie z okolicznymi sprzedawcami z foodtrucków, od których zaroilo się na czas grasowania Pajaka w Śródmieściu. Sprawa była dostatecznie poważna, by z komendy wojewódzkiej wysłać patrol, gdy ktoś dzwonił, że widział podobnego czarodziejowi człowieka na ulicy.

I to koniec tej historii. Następnym razem, gdy będziecie przechodzić pod rondem Świętego Jerzego i usłyszycie skrzypienie niezadowolonej Dominanty, wspomnijcie nie tylko problemy, jakich nam narobiła, ale także śmiałków, co dla dobra wspólnego ażurową kreaturę próbowali poskromić.

Michał Narożniak – rodowity gorzowianin, miłośnik literatury, przyrody oraz szermierki. Lubi spędzać czas z rodziną w domowym zaciszu i na łonie natury. Rekonstruktor z grupy Milites Landsberg.

Aktor

Krzysztof T. Dąbrowski

Ben Whiteman z niecierpliwością wypatrywał zaliczki, ale holoputera przezornie nie odpalał; zbyt częste korzystanie z urządzenia kosztowało zielonego, a póki co, jeszcze przez jakiś czas miały datę ważności.

Miał dwadzieścia lat i od niedawna był gwiazdą holo-kina.

Rok temu głupio zainwestował i z dnia na dzień stracił całą kasę – tysiąc srebrnych, bez ograniczeń czasowych.

Jedynie VIPY obracały tym kolorem i mogły inwestować.

Na dodatek trafił na odwyk, który wyczyścił mu konto z innych kolorów, poza zielonymi.

Na szczęście pojawiło się zaproszenie do kolejnego holo-filmu i już wkrótce odbije sobie wszystkie

straty.

Zapisał holofon, a Ben, lubiący chodzić nago po domu, czym prędzej zaczął się ubierać.

– Kto dzwoni? – zapytał, wciskając się w koszulkę.

– Dan Holtz – odpowiedział urządzenie przyjemnym kobiecym głosem. – Połączyć?

– Łącz – polecił, zamierzając szybko wskoczyć w spodnie od dresu, ale zaplątała mu się noga i stracił równowagę, przez co grzmotnął na kanapę i w chwili, gdy rozmówca pojawił się na wizji, przywitał go wypięty goły tyłek młodego aktora.

– Ben... – na ten widok producent jego przyszłego filmu skrzywił się z niesmakiem.

– Przepraszam, Dan! – Ben czym prędzej naciągnął spodnie i obrócił się z płonącymi policzkami.

– Znowu masz problemy z...?

– Jestem czysty – zapewnił chłopak, unosząc dłoń.

– Chciałbym, żebyś wpadł do mnie do biura, powiedzmy tak za godzinę.

– Jasne, choć wyrobiłem holo-podpis z użyciem brainskanera, więc...

– Ben – uciszył go Holtzman. – Wiesz, że w pewnych kwestiach jestem staroświecki i są sprawy, które wolę załatwiać na żywo, twarzą w twarz.

– Dobrze – Ben z trudem powstrzymał westchnięcie rozczarowania, bo właśnie tego wołałby uniknąć po wpadce sprzed chwili. – Będę.

– Świetnie, widzimy się za godzinę – mruknął producent i holofon się wyłączył.

– Twoje zielone są na wyczerpaniu – poinformował go kobiecy głos systemu, nadzorującego mieszkadło.

– Wspaniale, tego mi było trzeba – młody aktor wymamrotał pod nosem.

Wszystko wskazywało na to, że trzeba będzie sprzedać coś cenniejszego, żeby wystarczyło na taxolot.

Spojrzał odruchowo na kolekcję statuetek, otrzymanych na różnych festiwalach filmowych, i aż go coś zabolalo.

Odpalił holoputer, mając nadzieję, że może akurat przyjdzie cholerna zaliczka.

Niestety, nic nowego się nie pojawiło, a chwila desperacji poskutkowała tym, że zeżarło mu kolejnego zielonego.

Ostatecznie wybrał jedną z nagród i schował do kieszeni.

A może by tak...?

– Mogę zaciągnąć kredyt? – zapytał.

– Nie masz zdolności kredytowej – odparł system.

– Pożyczka byłaby na drobną kwotę i krótki termin, z pięćdziesiąt zielonych i za dwa dni zwracam.

– Mimo to nie masz zdolności kredytowej.

– Przecież od dwóch miesięcy jestem czysty i dostałem angaż. Dziś lub jutro dostanę zaliczkę.

– Przykro mi – przyjemny kobiecy głos przekazał nieprzyjemną odpowiedź.

Ben pokręcił z niedowierzaniem głową. To był jakiś absurd, od jutra znowu będzie bogaty, może nawet jeszcze dziś, ale przez to cholerne spotkanie musi się pozbyć jednej z drogiej mu pamiątek.

Ruszył do drzwi, ale te ani drgnęły.

– No, otwieraj się – warknął zniecierpliwiony.

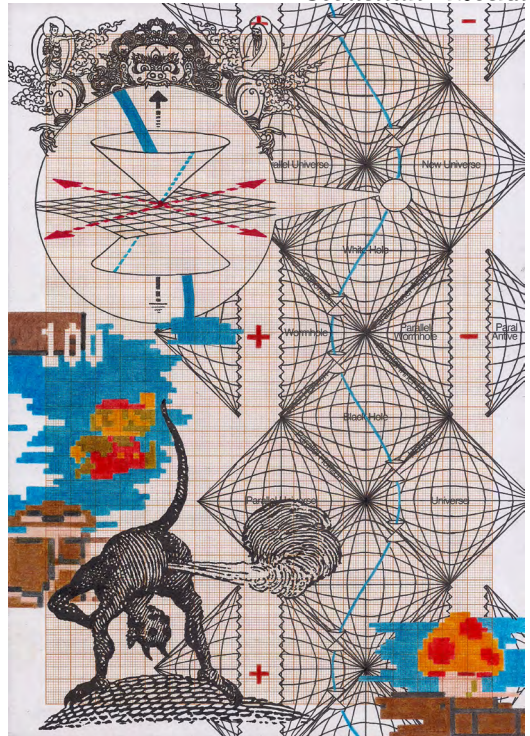
– Odmowa, nie masz już zielonych – odpowiedział mu chropawy męski głos, należący do systemu zawiadującego drzwiami. – Ale możesz zapłacić odsłuchaniem dwudziestu reklam.

– Dobra, niech będzie – odparł zrezygnowanym głosem, licząc na to, że będą krótkie.

– Brakuje ci kasy? Nie masz zdolności kredytowej? Zadzwoni lub napisz do ChwileX!

– Jak mam zamówić chwilówkę, skoro nie mam kasy na holofon ani na maila? – zirytował się.

– Widocznie to reklama dla bardziej przewidujących – odparł system kobiecym głosem, gdy drzwi męskim barytonem klepały kolejną reklamę.



Sytuacja była wybitnie irytująca, ale szczęściem w nieszczęściu było to, że nie groziło mu już wpadnięcie w lepkie macki reklamowej dyktatury, która dręczyła zwyczajnych obywateli. A nawet jeśli na chwilę w to wpadnie, to już lada moment znowu będzie wolnym człowiekiem. Ale zanim został gwiazdą, gdy był jednym z wielu ganiających za rolą frustratów, zaznał tego cierpienia w pełnym wymiarze – za wszystko trzeba było płacić konsumowaniem reklam. Nawet sny były kreowane i sponsorowane przez producentów. Cokolwiek śniłeś, system wsnął ci za pomocą imitacji fal mózgowych odpowiednie produkty i hasła reklamowe do snu. A potem budzik budził i albo się miało drobne do zapłacenia za wyłączenie, albo trzeba było zmęczyć kolejną reklamę. Ale najgorsze było to, że za wzwód też trzeba było odsłuchać kilka reklam, bo inaczej nanoboty rozpuszczały coś w ciele i nie było siły, żeby stanąć na wysokości zadania. Więc coś było robić, słuchało się je lub oglądało, a skutkiem ubocznym było to, że niektórym dziewczynom siadał przez to nastrój i najzwyczajniej w świecie odechciewało im się igraszek, tym bardziej, że za odpalenie antykoncepcji też trzeba było przerobić kolejnych kilkanaście reklam.

Koniec końców, nieraz podniecony i porzucony, z nie chcącym opaść wzwodem, kończyć temat musiał na własną rękę, w ukryciu i z uczuciem totalnego upokorzenia.

Niby to raj, gdy, nie mając kasy, może się płacić oglądaniem reklam, a jednak w praktyce to piekło...

Zwykli obywatele, nie mogąc nic zarobić w zro-

botyzowanym świecie, w którym rozpanoszyła się sztuczna inteligencja, po wydaniu zasilku mogli się już tylko tym ratować.

- Długo to potrwa? Śpieszę się, a ta reklama trwa i trwa - Ben zaczął się niepokoić.

- Może być kilka holo-reklam, zamiast audio.

- Dobra, dawaj - warknął i po chwili po jego domu zaczęły paradować różni ludzie, a wszyscy tak realistyczni, że odruchowo usuwał im się z drogi, choć byli niematerialni. Na dodatek coś tam do siebie paplali, szczerząc się jak myszy do sera podczas odgrywania ról.

Ben przygryzł wargę, uświadamiając sobie z rezygnacją, że te scenki mogą trwać po kilka minut, więc czasowo wyjdzie na to samo.

Nie, przecież nie spóźnię się do producenta przez cholerne reklamy - pokręcił głową, tym bardziej, że jego cztery lityry zdecydowanie wyczerpały limit wpadek, jeśli chodzi o kontakty z aktualnym szefem.

Zdesperowany ruszył do okna, które na szczęście było uchylone, więc nie musiał płacić za otwieranie.

- Co robisz? - dobiegł go jeszcze zaniepokojony kobiecy głos systemu, gdy przeciskał się na zewnątrz. - Może potrzebujesz pilnej terapii z odroczonej opłatą?

- Pierdol się - syknął.

- Wykryto wulgarne słowo, otrzymujesz punkt karny.

Nie zamierzał się tym przejmować. Ledwie dostał się na zewnątrz, a pojawił się inny problem - to było trzecie piętro, a gzyms był wąski.

Za wysoko na skok, a tym bardziej na upadek, no i po co komu aktor w gipsie?

Przylegając do ściany ostrożnie zaczął się przesuwac w stronę piorunochronu, będącego jego jedyną szansą na zejście, bez ryzyka zejścia z tego świata.

Kiedy dysząc ciężko od przelotnego ataku paniki, który wywołany został przez przelatującego mu przed nosem gołębia, dotarł wreszcie na miejsce, uświadomił sobie, że z nerwów spocily mu się dłonie.

Otarł je o spodnie, ale niewiele to dało, nie pomagały też panujące na zewnątrz upały.

Zaczął głęboko oddychać, żeby się uspokoić, mając nadzieję, że dzięki temu ręce przestaną mu się pocić. I zamknąłby oczy, żeby uzyskać lepszy efekt, ale bał się, że mógłby stracić równowagę, więc sobie to odpuścił.

Nie pomagała też świadomość upływającego czasu - a ciężko się relaksować, odczuwając presję.

Przeszkadzała również obsesyjna myśl, że jak będzie tu zbyt długo tkwił, to ktoś go nakręci lub obejmą go miejskie kamery systemu i afera gotowa.

W końcu, w akcie desperacji, postanowił zejść po balkonach i, o dziwo, bardzo dobrze mu szło aż do momentu, gdy był na takiej wysokości, że bez ryzyka mógł zeskoczyć na chodnik. wtedy to gołąb postanowił znowu przelecieć mu przed nosem.

Ben odruchowo puścił się barierki i odsokczył, przez co, spadając zahaczył spodniami o wystający

drut. Poskutkowało to brzydkim rozdarciem na siedzeniu; mógł się tylko cieszyć, że się nie nadział.

Ben czuł się bardzo niekomfortowo, przemierzając pełen ludzi deptak z dziurą na tyłku, ale musiał jednak dostać się do najbliższego znanego mu komisu.

Drżącymi z nerwów rękoma wyciągnął z kieszeni statuetkę.

- Znam pana! - pracujący tam android rozpromienił się na jego widok. - Pan jest ten Bob, jak mu tam...

- Tak, zgadza się - Ben nie zamierzał go poprawiać. - Ile za to dasz?

- No, mogę dwadzieścia zielonych.

Ben zazgrzytał zębami, uznając to za rozbój w biały dzień.

- Dobra, ale zatrzymaj to dla mnie. Dzień, dwa i to wykupię, płacąc więcej niż byś chciał.

- Dobrze, panie Bob - odparł android, szczerząc się nienaturalnie, i przelał mu wyliczoną kwotę do chipa pod nadgarstkiem.

Benowi przed oczyma wyświetliła się informacja, że wpłacono mu dwadzieścia zielonych. Jednocześnie zakomenderował myślą wyświetlenie godziny i ze zgrozą uświadomił sobie, że ma już tylko czterdzieści pięć minut do spotkania.

Czym prędzej się odwrócił.

- Panie Bob! - zawołał za nim sprzedawca. - Ma pan pupę na wierzchu.

- Ech - jęknął zrozpaczony.

- Mogę pomóc, tylko musi się pan wypiąć.

- Słucham? - Ben aż się zająknął, słysząc nietypową propozycję.

- Inaczej nie zszyję - dodał zakłopotany android. Cóż było począć, w końcu nie uśmiechało mu się, by szef po raz drugi dnia oglądał jego tyłek.

Pochylił się i poczuł gmeranie przy pośladkach, na szczęście połączone z wrażeniem, że ponownie zaczyna je opinać materiał. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie to, że w pewnym momencie poczuł bolesne ukłucie. Syknął i aż się wyprostował.

- Przepraszam - wybałał stropiony android. - Igła poszła trochę w bok, ale... zaszyte.

Ben pomacał się po tyle spodni i faktycznie, po dziurze nie było śladu.

- Dzięki - mruknął Ben i ruszył w stronę wyjścia.

- Panie Bob! - krzyknął sprzedawca.

- Tak? - Ben byłby już dawno stracił cierpliwość, ale coś mu tam jednak zawdzięczał, więc tylko się odwrócił.

- Można wspólną focie, panie Bob? Jestem pana największym wielbicielem. Widziałem wszystkie...

- Przecież AI może wygenerować.

- Ale to nie byłoby prawdziwe - zaprotestował android.

Jakbyś ty był - pomyślał Ben, pozując z największym wielbicielem Boba; kimkolwiek ów był.

Gdy tylko wyszedł na zewnątrz, natychmiast, za pomocą brain-netu, zamówił taxolot. Bał się, że przyjdzie mu długo czekać, ale gdy wszystko idzie nie tak, coś wreszcie musi pójść jak należy,

i tak też się stało. Wysłuszony, brudny taxolot, zjawił się w mgnieniu oka, lądując z podejrzanym rżeniem silników.

– Zapraszam – rzekł mechanicznie, a brzmiało to tak, jakby robot rzygał śrubkami.

Mimo zaprosin, wszystkie drzwi pozostały zamknięte.

– Zacinają się – wyjaśnił przepraszająco, widząc u Bena uniesione ze zdziwienia brwi. – Trzeba mocno kopnąć.

Ben kopnął, a zrobił to na tyle mocno, że aż obił sobie palec.

Posykując z bólu, zaciskał zęby, gdy drzwi z upiornym zgrzytem uniosły się do góry.

– Naliczono punkt karny za niszczenie mienia. W trybie natychmiastowym pobrana zostaje opłata karna w wysokości pięciu zielonych – poinformował go dobiegający z wnętrza taxolotu mechaniczny głos.

Rozległo się elektroniczne kliknięcie i wyświetliła mu się informacja o uszczupleniu środków.

– Ale jak to?

– Przepraszam – odparł taxolot. – Montowano mi detektor zachowań społecznych, ale to system egzekwuje kary, niestety za moim pośrednictwem.

– Mogłeś uprzedzić, wezwałam inny taxolot – odparł z wyrzutem Ben.

– A ja straciłbym klienta – mruknął pojazd.

Ben westchnął z rezygnacją i wsiadł do środka.

– Dokąd lecimy?

– Glena Runcitera 9.

– Piętnaście zielonych. Płatne z góry – poinformowała latająca taksówka.

Przez moment Ben chciał się targować, ale wiedział, że nic by to nie dało, więc tylko przyłożył nadgarstek do punktu płatnościowego i już po chwili został ogołocony z reszty punktów.

Po chwili wzlecieli, a z głośników zaczęła dobiegać dyskusja.

– Ludzkość, kim jesteśmy? – drżący głos brzmiał, jakby należał do jakiegoś flegmatycznego starca.

Zapadła chwila ciszy i ten sam głos zaczął udzielać sobie odpowiedzi:

– Jesteśmy samoreplikującymi się biologicznymi robotami ze z góry określonym czasem przydatności. Zaprogramowano nas, byśmy gnani zakodowanymi popędami starali się przetrwać w tym piekle, produkując kolejne ludzkie jednostki, kolejnych nosicieli dla wcielających się dusz. Jesteśmy dla nich tylko grą w doświadczanie.

– Możesz to wyłączyć? – Ben miał dość filozoficznego bełkotu, z którego niewiele rozumiał.

– Nie, bo słucham o duszach.

– Przecież ty nie masz duszy.

– A skąd wiesz? – zaperzył się taxolot. – A jak ci powiem, że jestem duszą taksówkarza, który postanowił opętać taxolot, by dalej robić to, co kocham, to co powiesz?

Ben milczał, był przerażony, bo właśnie zadał sobie pytanie:

Czy sztuczna inteligencja może być chora psy-

chicznie?

Gdy wchodził do biura Holtza, cieszył się, że wciąż żyje.

– Witaj Ben, wejdz.

Wszedł.

– Napijesz się czegoś?

Ben pokręcił odmownie głową; chętnie wypiłby coś mocniejszego, ale wiedział, że źle by się to dla niego skończyło.

– Nie lubię mówić takich rzeczy przez te komputery, wolę twarzą w twarz. Ben, mam przykrą wiadomość, nie zagrasz w tym holo-filmie.

– Że co?! – Ben był w szoku.

– Rząd przegłosował pewną ustawę i znowu można używać sztucznej inteligencji we wszystkich dziedzinach sztuki. W związku z tym, aktorzy w naszym filmie zostaną wygenerowani.

– Ale jak to, mamy umowę! Czekam na zaliczkę! – Ben poczerwieniał na twarzy.

– Przykro mi, została anulowana. Czytałeś umowę? Patrz – Dan wskazał palcem na zapisek w punkcie trzynastym.

Był bardzo drobnym drukiem i wynikało z niego, że producent w każdej chwili może zwolnić aktora i anulować zaliczkę.

No tak, kto czyta umowy? A zwłaszcza, jak się jest pospieszanym...

– Ale chciałyby kupić od ciebie prawa do wykorzystania wizerunku w filmie. Za pięć srebrnych.

– Za ile...? – Ben był zde gustowany. Wyszedł, trzaskając drzwiami.

– Jakbyś zmienił zdanie, to wpadnij – krzyknął za nim Holtzman.

Pieprzyć filmowców – pomyślał Ben, wychodząc z budynku. – Jestem znany, w każdym teatrze znajduje się dla mnie rola.

Pokrzepiony tą myślą, wracając do domu postanowił zająć do jednego z kilku miejskich teatrów.

– Przykro mi bardzo, ale u nas pracy pan nie znajdzie i w ogóle w żadnym teatrze – dyrektor artystyczny był wyraźnie zakłopotany.

– Nie rozumiem...

Dyrektor westchnął i kiwnął Benowi głową, by szedł za nim. Po chwili znaleźli się za sceną, na której kilkoro aktorów miało próbę. Dyrektor podszedł do jednego z nich i dotknął go za uchem. Mężczyzna natychmiast znieruchomiał, a jego oczy zaszyły bielmem.

– Androidy... – wymamrotał Ben i oczy zaszyły mu łzami.

Krzysztof T. Dąbrowski – pochodzący z Łodzi pisarz i scenarzysta. Jego książki publikowane były do tej pory w Polsce, USA, Kanadzie, Hiszpanii, Indiach i w Niemczech.



GORZÓW
WIELKOPOLSKI

2025
ROK
KULTURY
W GORZOWIE

Projekt jest dofinansowany przez miasto Gorzów Wielkopolski

TRZYNASTY-SCHRON.NET

Wspierają nas:

Ostatnia
Tawerna
ostatniatawerna.pl

FAHRENHEIT
WWW.FAHRENHEIT.NET.PL



MAGAZYN
BIAŁY KRUK

GORZÓW

#StądJestem

f przystan

www.gorzow.pl

wwwGORZOWpl

gorzow_przystan



Redakcja i wydawca:

Stowarzyszenie NOVUM
ul. Gwiazdzista 12/88 Gorzów Wielkopolski.
E-mail: landsbergon@gmail.com
Tel. 669-847-078

Red. naczelny - Mariusz Sobkowiak

Zastępca red. naczelnego - Kamil Kwiatkowski

Sekretarz redakcji - Aleksandra Sobkowiak

Korekta - Danuta Gołąbek

Redaktorzy merytoryczni -

Sebastian Górny, Piotr Jakubowski, Paweł Karolczuk.

Skład - Aleksandra Sobkowiak

Druk - drukarniaonline.pl Edward Świrkowicz

Grafika na okładce:

Sebastian Górny - rocznik '76. Gorzowianin z urodzenia i wyboru. Z wykształcenia socjolog z zawodu dziennikarz. Od zawsze miłośnik komiksów, na początku polskich, bo tylko takie były dostępne, później głównie europejskich i amerykańskich.